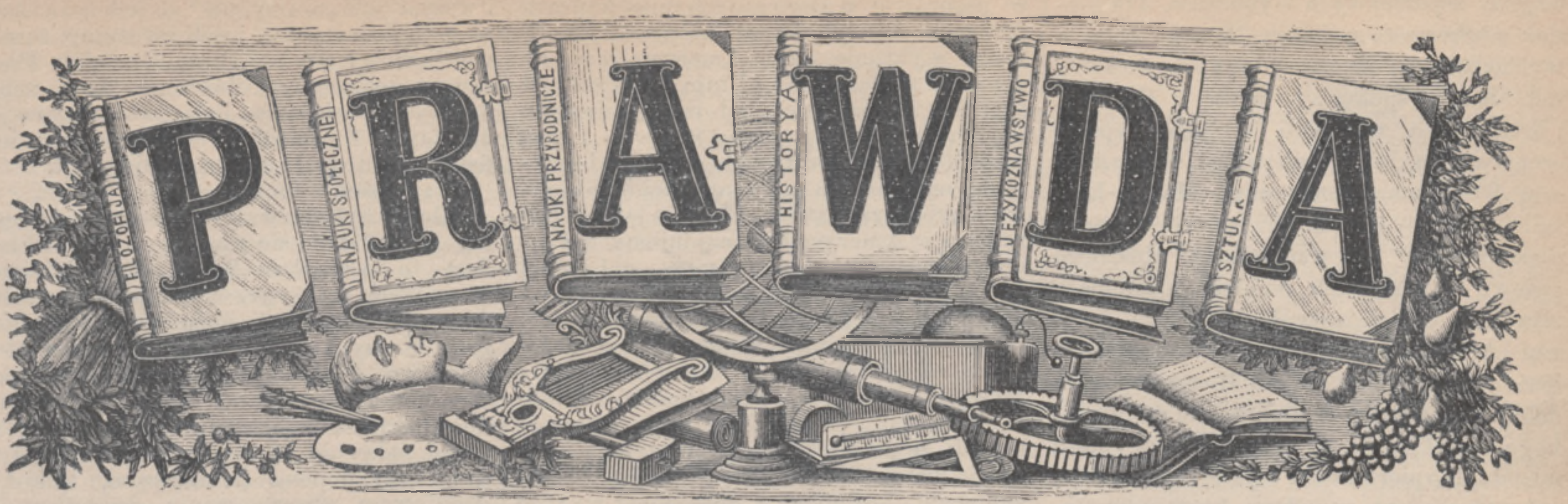
№ 11. Warszawa, dnia 15 (3) Marca 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szanownych abonentów naszych z prowincyi prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty kwartalnej, o ile można, bezpośrednio do administracyi naszej. Droga ta najpewniej zapobiega opóźnieniom i przerwom w odbiorze pisma.

Dynamitardzi.

Gdy przed kilku laty na odjeżdżającym statku niemieckim odkryto pakę z nitrogliceryną i przyrządem zegarowym, który miał ją zapalić, cały świat cywilizowany trząsł się długo z oburzenia a sprawca zamachu niejaki Thomson, uważany był powszechnie za wyjątkowego potwora. Tak było przed laty kilku — a dziś? Dziś w ciągu jednej doby zapominamy o tem, że w Wiedniu lub Londynie znaleziono takież same paki z takimiż przyrządami, przygotowane do wysadzenia w powietrze szeregu domów lub dworców kolejowych, a tajemni kanonierzy tych piekielnych min cieszą się sympatyą szerokich kół i wieńczeni są wawrzynem w pismach publicznych. Krwawemi czcionkami drukowany w Londynie organ słynnego furyata socyalistycznego, Mosta, *Freiheit*, wysławiając „morderców dla dobra proletaryatu," bez ogródki powiada nawet o Ameryce, że tam „lud najlepiej zrobi, gdy takich łotrów, jak Vanderbild, Gould itp. powiesi na pierwszej lepszej latarni." Ta zaś Ameryka staje się jednym wielkim składem „Atlas-pulveru" (dynamitu), strasznego czarnego ciasta, które w małych bochenkach płynie do Anglii, ażeby rozedrzeć ją i zgruchotać wybuchami. To już dziś nie wstydliwie ukryty spisek, ale jawna działalność, równouprawniająca się moralnie z innemi. *Irish World* zamieszcza całe kolumny imiennych składek na fundusz potrzebny do tego dzieła. Oto próby.

„Driston w Pensylwanii. Załączam 1 dol. od siebie i 50 cent. od mojego najmłodszego synka na zakupienie dynamitu, ażeby dopomódz do zniszczenia Anglii. *Niech Bóg ten fundusz błogosławi. Tomasz i Sarsfield M. Carthy.*"

„St. Louis w Missisipi. Mam nadzieję niedługo usłyszeć gromy. Przytem 4½ dol."

„Georgetown w Pensylwanii. Przesyłam 5 dol. na wspaniałe przedsięwzięcie. Niech *Stwórca* wszechmocny pozwoli cieniom Patricka, O'Donnela i Gunneta patrzeć z *zadowoleniem* na zgubę przewrotnego państwa, które rozporządza ludźmi, jak zwierzętami w lesie. Śmierć O'Donnela musi być pomszczoną. Niech ciągle o tem *słyszę*. *John Dawson.*"

„Cherry Crook w Nebrasce. Daję 5 dol. na każdy *pożar*. Zabierzcie się energicznie do J. Bulla. Boże zachowaj Irlandyę! *Patrick Kane.*"

„Garne w Arkanzasie. Te 5 dol. wystarczy na kilka *argumentów* potrzebnych do działania za oceanem i *nawrócenia* Gladstone'a oraz Seymoura. *John Shea.*"

Jak widzimy — jasno i otwarcie. Ofiarodawcy składek na dynamit nie wątpią nawet, że go Bóg pobłogosławi, że wysadzenie w powietrze całych dzielnic Londynu i zabijanie setek ludzi pozostaje w zupełnej zgodzie z moralnością. Bądź co bądź, ten nagły przewrót w pojęciach, to oswojenie się ze środkami walki, przeciwko którym oświadczono się niedawno w otwartej wojnie, jest znamienną cechą czasu. Bo przytem i ludzie, którzy w „Atlas-pulver" zbawienia ludzkości nie widzą i taką broń potępiają, przypatrują się jej skutkom, jeśli nie z sympatyą, to z jakimś chłodem. Reporterya, opisująca wybuchy dynamitowe, umie przez pewien czas zająć nimi uwagę ogółu, ale te straszne fakty nie sprawiają już takiego wrażenia, jakie wywierały jeszcze przed sześciu lub dziesięciu laty. Gdy telegraf donosi o nowym zamachu w Londynie lub Wiedniu, tyle wiadomość ta porusza ogół, ile spadek lub podwyżka funtów szterlingów i guldenów. Jestże to zdziwienie? Niewątpliwe. Czy zamiar okrutnego mordowania ludzi nazwie się patryotyzmem, czy socyalizmem — zawsze to będzie żądza barbarzyńska, w znacznej części nasycająca się krwią niewinną. Bo cóż winni są podróżni, jadący pociągiem kolei, który wylatuje w powietrze? Może właśnie między nimi są najnieszczęśliwsi, najbardziej uciśnieni, ci właśnie, dla „dobra" których całą tę potworną robotę przedsięwzięto. Boleść biednego ojca lub matki po stracie zgładzonego w ten sposób syna lub córki, boleść wielu skrzywdzonych w tem zniszczeniu stworzy taką sumę nieszczęść i smutków, że jej nie wynagrodzi korzyść ze zwycięstwa innych. Odczuwamy całą niedolę irlandczyków i rozumiemy okrucieństwo przewagi angielskiej oraz niesprawiedliwość stosunków społecznych tego kraju, ale te publiczne składki na dynamit, na pożary i miny są czemś tak okropnem, że uznać ich za odwet moralny, uczciwy, niepodobna. Mściciele amerykańscy wprowadzili walkę w okres najdzikszej zajadłości, bo wypowiedzieli ją nie pewnym jednostkom, nie pewnym stanom, ale całemu społeczeństwu, bez względu na to, kto w przygotowanych przez nich wybuchach ginie. Oni dopiero dają nam przedsmak niepamiętnej na nie rewolucyi, która jeszcze nie posiada jasno określonych celów, czuje tylko pragnienie krwi obficie wytoczonej.

Z szaloną szybkością obciąga Europę burza, która tak niedawno, bo za naszej świeżej pamięci się zerwała. W powietrzu czuć ciągle duszący swąd dynamitu i słychać

odgłosy zapalczywych wybuchów. Jak kiedyś z tchnącego miłością Nowego Zakonu wychodzili krwiożerczy inkwizytorowie, tak dziś ze spokojnej nauki o równości i braterstwie wystąpili burzyciele społeczeństw. To już nie socyaliści, nie uczniowie Proudhona, Rodbertusa, Marxa. Lassalle'a, ale — jak ich świeżo ochrzczono — *dynamitardzi.* Do współczucia, słusznego gniewu i poświęceń domieszała się masa złych lub dzikich instynktów, która tworzy „Atlas-pulver," która znajduje zadowolenie w zniszczeniu. Niech Mosty i tym podobni fanatycy lub szalbierze nie usiłują nikogo przekonać, że w tym ruchu biorą udział tylko pierwiastki czyste; działa w nim znaczny procent popędów, które z marzeniem socyalistycznem nic wspólnego nie mają. Obok dynamitowego Tella stoi dynamitowy Traupman lub Orłowski.

Nikt nie przewidywał, jak na przebieg starć społeczno-politycznych oddziałają wynalazki techniczne. Łatwość przygotowania materyałów wybuchowych, dających jednostce potężną siłę niszczącą, zmieniła całkiem położenie rzeczy. Jeżeli chmura nie wyładuje wszystkich swoich piorunów, jeżeli zmęczone konwulsyami społeczeństwa nie zapragną szczerze spokoju, jeżeli burza lub poprawa warunków życia nie oczyści powietrza, węzeł pozostanie ciągle nierozwiązalnym. Co pomogą wszyscy mężowie stanu, armie, prawa wyjątkowe, kary, dopóki gromadka ludzi, zaopatrzywszy się w ładunek dynamitowy, będzie w stanie wysadzić nim dzielnicę miasta, kościół, pociąg lub teatr? Udaremnić podkopy takich gromadek zdoła tylko samo społeczeństwo, gdy nie będzie nosiło w swem łonie uczucia krzywdy, gniewu, nienawiści i zemsty.

NAJNOWSZY STAN KWESTYI RASOWEJ.

(Dokończenie).

Teorya „penetracyi" ras znajduje sprawdzenie nietylko w Europie, którą przywykliśmy już nieco uważać za widownię rozlicznych emigracyj ludów z różnych stron; w rozprawie o pierwotnych mieszkańcach Ameryki (*Die Autochtonen Americas*) *) Kollmann wykazuje, że w Ameryce rzecz się ma zupełnie tak samo. I tam człowiek jest typem trwałym, który od czasu diluvium nie zmienił żadnej cechy rasowej i pod względem ściśle antropologicznym bynajmniej nie podpada pod znane skądinąd prawo ciągłej przemiany. Równie jak w Europie, i w Ameryce nie znajdujemy ani jednego *ludu*, ani jednego *szczepu*, ani jednej *hordy*, któraby się składała z potomków jednej i tej samej rasy. I tam także w każdej jedności *etnologicznej* znajdujemy różnorodność *antropologiczną.* I tam też widzimy mieszaniny hord, szczepów, ludów—ale nie ras; socyalne i etnologiczne typy zacierają się tak, że powierzchowny spostrzegacz sądzi, iż ma przed sobą rasę jednolitą. Jest to złudzenie: kraniolog i antropolog wykaże mu w każdej takiej, niby jednolitej grupie żyjących spokojnie obok siebie przedstawicieli różnych ras, których cechy odrębne od wieków się nie zmieniły.

Nie potrzebuję zwracać uwagi na ogromną doniosłość teoryi Kollmanna, którą zresztą i inni nowożytni antropologowie i etnologowie—jak np. Fritsch, autor dzieła o ludach południowej Afryki i słynny antropolog francuski Broca — do pewnego stopnia podzielają; chcę tylko wskazać jeszcze na silne poparcie, jakie ona znalazła niedawno w odkryciach ucznia Kollmanna, Karola Passavant, podczas jego podróży roku zeszłego po zachodniej Europie **).

Passavant odrzuca wszelkie podziały ludów afrykańskich, poczynione na zasadzie lingwistycznej. „Bo co znaczy wspólna mowa? — pisze on. Wspólna mowa oznacza *lud*, to jest *etniczną* jedność." „Czego zaś wymagamy po rasie? Jednakiego ciała, t. j. zgodnych *cech anatomicznych!*" Otóż Passavant obserwując w Afryce liczne ludy i szczepy, w żadnej etnicznej jedności nie widział nigdy *zgodności cech rasowych.* Owszem, tak samo jak Kollman w Europie, tak i uczeń jego w Afryce widział wszędzie tylko *penetracye* ras, nigdzie nie napotkał ludu czystej rasy. „Kraniologia — powiada on — liczbami może udowodnić, że jakkolwiek w Afryce istnieją trzy co najmniej rasy murzynów, są one rozproszone po całym kontynencie, na każdem terytoryum znajdujemy przedstawicieli wszystkich tamtejszych ras." Że dawniejsi podróżnicy i etnografowie tych różnic nie widzieli i wszystkich „murzynów" ze jedną uważali rasę, to łatwo pojąć, jeżeli zważymy, że nawet fachowy anatom i kraniolog, jak Passavant, potrzebował dłuższego czasu, żeby nauczyć się odróżniać jednego murzyna od drugiego. Z początku wogóle odmian ich fizyognomii wcale dostrzedz nie mógł.

Oto co sam o tem pisze;

„Gorée był pierwszym punktem, gdzieśmy przywitali się z lądem afrykańskim. Jest to posiadłość francuska, osławiona w ostatnim czasie przez panujące tam żółte febry. Mieszka tam dużo osadników białych. Murzyni należą do szczepów serrerów i jolofów. Pierwszy raz uczyniłem tam spostrzeżenie, że początkującemu bardzo trudno rozróżnić fizyognomie murzynów. Naprzód zdawało mi się, że wszyscy mają te same rysy; dopiero po dłuższem, kilkutygodniowem obserwowaniu doszedłem do tego, że mogłem sobie zdać sprawę z poszczególnych różnic ich oblicza."

Ta okoliczność tłomaczy fakt, że antropologowie, zacząwszy systematy swe od jednej rasy murzyńskiej, powoli rozpoznawali coraz więcej. Już Hartmann w dziele swojem o ludach Afryki (1879) wypowiada przekonanie, że wyobrażenia o jedności rasowej murzynów są fałszywe. „Śród nigrijczyków — pisze on — istnieją takie różnice szczepowe, że musimy zupełnie porzucić zwykłe mniemanie o *typie murzyńskim*, na który się składa włos wełnisty, nos zadarty, wargi grube i skóra czarna. Podobne postacie niechaj sobie na szyldach kupieckich malują — antropologia takich typów nie zna." Podobnie i Passavant ostrzega przed używaniem słów: „znany typ murzyński;" jest to bowiem frazes bez znaczenia. „Bo jeżeli forma czaszki u murzynów waha się między najskrajniejszą dolichocefalią (długą głową) i zaczynającą się hyperbrachycefalią (szeroką), jeżeli obok prognatyzmu znajdujemy ortognatyzm, jeżeli obok szerokiego płaskiego nosa widzimy wąski i wygięty, jeżeli kolor skóry od jasno-brunatnego do najczarniejszego przechodzi a często pokazuje tony żółtawe i czerwonawe i jeżeli nadto jeszcze spotykamy podwójny gatunek włosów — wtedy trzeba zrzec się pretensyi ustanowienia ogólnego *typu murzyńskiego.*"

„Jak w Europie — mówi dalej Passavant — tak samo też w Afryce odbywały się wędrówki ludów i wyprawy wojenne: nierozważną więc byłoby rzeczą szukać tam szczepów niezmieszanych... Chociażby nawet wędrowne ludy były liczebnie niezbyt wielkie, to przecież po drodze wzrastały jak lawina, uzupełniając się resztkami pobitych nieprzyjaciół i zasilając się coraz to nowy-

*) W czasopiśmie *Zeitschrift für Ethnologie*, 1883.

**) Porównaj: *Craniologische Untersuchungen der Neger und Negervölker* Karola Passavanta, Bazylea 1884.

---

[5])

Wspomnienia o Heinem.

XII.

Powiedziałem już, że jedyną jej przyjaciółką była pani Arnault, założycielka Hipodromu. Znała ją młodą dziewczyną pod nazwiskiem Elizy Ponsin. Eliza była siostrą p. Ponsin, pięknego mężczyzny, mieszkającego pod nrem 10 Fg. Montmartre, w miejscu, w którem oddawna znajduje się redakcya dziennika *Le Temps.* Nigdy nie wchodzę do biura tej redakcyi, nie doznawszy uczucia, przypominającego mi marności lat młodzieńczych. Ileż pięknych obiadków i sutych wieczerzy odbyło się w tym salonie, gdzie później zasiadał przyjaciel mój i ziomek Nefftzer, gdzie zasiada obecnie senator Hébrard! Ponsin trudnił się wyrobem obuwia. Był on ulubionym zięciem pani Rose, babki Maryi Rose. Pani Rose i córka jej pani Ponsin były, według mnie, najpiękniejszemi osobistościami ówczesnego eleganckiego Paryża; ale matka, pomimo swych lat czterdziestu, była ładniejszą jeszcze, niż córka, świeżo poślubiona pięknemu Ponsinowi, który ją zaniedbywał zresztą, prowadząc życie na wielką skalę i oddając się miłostkom dawniejszym i nowym. Co wtorek w tym salonie odbywał się obiad i wieczerza artystyczna, nieco mieszana. Niekiedy gaszono świece i spędzano czas w oświetleniu błękitnych płomieni ponczu na araku. Heine był przyjacielem domu — dlaczego — zgadnąć łatwo. Sprowadził on tam z sobą Matyldę i mnie. Eliza była uczciwą i zachwycającą dziewczyną z posagiem jakoby sześćdziesięciu tysięcy franków, otrzymanych w spadku po ojcu, posagiem, który na owe czasy był małym majątkiem, ale który został pochłonięty przez brata w chwili jego ruiny. Któż nie zna nędznego końca pani Ponsin, która zmarła w Meksyku jako aktorka? Widziałem ją w Paryżu u Nadara, traktowaną, pomimo swej piękności, jak ostatnia z kobiet przez młodych fotografów. Odezwała się wtedy do mnie:

— Weill, pan mię znałeś w innych okolicznościach. Któżby mi to był przepowiedział!

A jednak można było to z łatwością przewidzieć po śmierci Ponsina, zmarłego w trzydziestym szóstym roku życia z gangreny w kolanie. W tym to domu urodziła się Marya Rose, którąśmy wszyscy wycałowali, kiedy miała zaledwie trzy godziny życia.

Pewnego dnia Ponsin mówił mi, abym się ożenił z Elizą, ale wyjechałem wtedy do Niemiec, gdzie, pomimo mej woli, zabawiłem piętnaście miesięcy. Po powrocie zastałem Elizę zamężną.

— Dlaczego nie czekałaś pani na mnie? — zapytałem, śmiejąc się.

— Wyperswadowała mi tę myśl przyjaciółka pańska, Matylda. Naprzód powiedziała mi, że pan masz metresę, a następnie, żeś pan nie urodził się do małżeństwa.

Gdym wyrzucał pani Heine jej złośliwość, odpowiedziała mi:

— Dobrze tedy, mówiłam Elizie! Cóż z tego? Mówiłam tylko to, com myślała.

Chciałem jej zapytać, po co się w to mieszała, ale wolałem zamilczeć. Faktem jest, że ilekroć mówiłem o małżeństwie, Matylda, wybuchając śmiechem, odzywała się do męża:

— Henryku, czy widzisz małego Weilla ożenionego?

mi awanturnikami, których w Afryce nigdy nie brak. Jeśli taki szczep wędrujący pokonany został przez silniejszego nieprzyjaciela, wtedy dostawał się do niewoli albo w inny stosunek zależności; w najlepszym razie zaś po dłuższej wędrówce osiadł gdzieś w jakimś żyznym kraju... Zachodzi tylko pytanie, czy przez krzyżowanie się ras wskutek takich wędrówek i takiego pomieszania się ludności powstała z czasem nowa rasa mieszańców, w której różne właściwości i przymioty pierwotnych części składowych się wyrównały, albo czy też pewne cechy *stale trwają nie zmieniając się wcale?*“ Passavant jest tego ostatniego zdania i uważa formę czaszki za *stale dziedziczącą się cechę rasową*. „Znamy mnóstwo przykładów—powiada on—przemawiających za tem, że typ rasy utrzymuje się stale, albo też w późniejszej generacyi znowu występuje.“ Po przytoczeniu licznych na to przykładów przypomina wreszcie, że „najstarsze czaszki ze znanych takie same wykazują różnice, jak czaszki istniejących dzisiaj ras i że między temi najstarszemi czaszkami nie można wynaleść większych różnic, aniżeli te, jakie i dzisiaj istnieją... Gdyby forma czaszek zmieniała się wskutek krzyżowania się, gdyby z mieszaniny dwu ras powstała trzecia pośrednia, to wszystkie pierwotne odrębności i różnice w przeciągu czasu byłyby znikły i zamiast skrajnych form mielibyśmy dzisiaj tylko już jedną formę twarzy jakoteż i czaszki; bo mieszanie się i krzyżowanie ras odbywało się *zawsze*. dowodzą tego czaszki najróżniejszego kształtu, które znajdujemy we wspólnych grobach. Wszyscy w takim razie musielibyśmy być do siebie podobni. Nie podlega więc kwestyi, że typy czaszek są stałe i niezmienne.“ Wszystkie te twierdzenia popiera Passavant faktami, zaczerpniętymi w kraniologicznych poszukiwaniach swych w Afryce, które go przekonały, że „nie istnieje wcale typowa czaszka murzyńska, ale że jest tam wiele takich typów, a zatem wiele ras murzyńskich. Co zaś szczególowo tyczy się tych okolic, które Passavant sam zwiedził, to jest krajów nad rzeką Congo, wypowiada on takie zdanie o ludności tamtejszej: „Murzyni wszystkich ras zmieszali się w tych krajach; żadna nie jest tu liczniejszą, aniżeli inne, natomiast wszystkie są tu reprezentowane...“ Rozpatrując następnie badania kraniologiczne innych antropologów nad czaszkami ludów afrykańskich, jak: kafrów, hotentotów, nigrijczyków i ludów nad rzeką Congo zawiera rezultat badań w następujących słowach: „Żaden z tych ludów nie składa się z jednej i tej samej rasy; nieinaczej zatem ma się rzecz w Afryce, jak w Europie; tam, podobnie jak i u nas, pojęcia: rasa i lud—nie odpowiadają sobie bynajmniej. Co do języka, wszystkie ludy afrykańskie mogą być pokrewne, to jest początki ich mowy mogą być wspólne, ale pod względem anatomicznym plemiona zamieszkujące Afrykę składają się wszystkie z różnorasowych żywiołów.“

Tyle co do najnowszego stanu kwestyi rasowej; o ile te zdobycze naukowe z pola antropologii wpłynąć muszą na stanowisko i kierunek socyologii — o tem innym razem.

L. Gumplowicz.

NIEŚMIERTELNOŚĆ CZĄSTKOWA.

(Dokończenie).

Unicestwienie dusz, które nie rozwijały w sobie pierwiastku nieśmiertelności, będzie, utrzymuje on, „nowem potwierdzeniem owego prawa rozwoju, według którego przyroda, chcąc wydać istoty coraz doskonalsze, wytwarza wielką liczbę zarodków, z których jednak nie wszystkie się rozwijają, lecz tylko te, które natrafią na sprzyjające warunki. Bóg wytworzył w postaciach ludzkich zarodki istot wyższego rzędu, wiecznych, nieśmiertelnych i postawił je, o ile to od niego zależało, w warunkach sprzyjających ich rozwojowi. Ale jednym, nieodzownym warunkiem „sprzyjającym“ temu rozwojowi, jest osobista moralna energia człowieka w pracy nad sobą, w dążności do celów wyższych. Gdzie tego warunku niema, tam zarodek istoty wyższej ginie.“ Czyż mam wykazywać bezzasadność i sprzeczności tego rozumowania? W przyrodzie, która jest przecie wytworem Boga jak i człowiek, mnóstwo zarodków marnie ginie w walce o byt, niewiele dostępuje rozwoju; lecz czyż to jest rozumnem, celowem? Czy nie jest to raczej marnotrawstwem siły i materyi? Klasyczna teleologia zna dobrze szkopuł, jaki tkwi dla niej w walce o byt i stara się go dyskretnie omijać; jeśli zaś p. Str. punkt ten podnosi, jako objaw Najwyższego Rozumu, jest to z jego strony tylko gruba niezręczność. Bóg stawia zarodki istot wyższych w sprzyjających warunkach rozwoju, ale skoro jednym z tych warunków jest „osobista moralna energia,“ to dlaczegóż nie wszystkim warunek ten się dostaje? Czy nie słuszniej by było dać wszystkim równe szanse w ubieganiu się o premię nieśmiertelności? Powoła tu autor zapewne teoryę wolnej woli i powie, że człowiek powinien i może sam chcieć dobra i doskonałości. Ale spytamy znowu, po co Bóg stwarza dzikich, nie wyżej często od zwierząt stojących idyotów, dzieci, które przedwcześnie umierają? Czyż i ci wszyscy mogą i powinni „wnikać głębiej w tajniki prawdy?“ Zarodki swoje postawił Bóg w warunkach przyjaznych „o ile to od niego zależało,“ a jakież to potęgi nie są zależne od Niego, który jest istotą wszechmocną? Jeśli to jakiś nowy, obcy „naturze“ i „Bogu,“ czynnik, to należało go wyjaśnić, jako decydujący w kwestyi nieśmiertelności niektórych ludzi. Może to bezwładna materya, z którą jak i my, Bóg uporać się nie może? Chyba nie. A więc to jakaś istota Jemu współrzędna a wroga, która wikła Jego zamiary, istota, która wbrew Bogu, „od Niego niezależna,“ rzuca w dusze ludzkie zaczyn słabości, grzechu — a zatem i ich śmierci. Lecz któż to? — oczywiście, nikt inny tylko dyabeł. Wynik to może śmieszny, a jednak nieunikniony, bo i jakże nie wpaść w to gminne wyobrażenie, jeżeli zechcemy pojmować Boga, jako istotę, działającą ze świadomymi zamiarami, lecz w zamiarach tych „zależną“ i ograniczoną przez coś, co od niej jest niezależnem? Ale dość tego. Nie będę też wchodził w bliższy rozbiór zasady celowości, która u autora ważną rolę odgrywa: kwestyę tę omówiono już dostatecznie i lepiej niżbym to uczynić potrafił, p. Str. zaś nie odsłania w niej żadnego nowego punktu, któryby dawał materyał do nowych wyjaśnień. Jeżeli zatrzymałem się obszerniej nad dowodem z teoryi rozwoju, to dlatego tylko, iż jest to konik, którego od niedawna dosiadać zaczęli obrońcy nieśmiertelności, i jak dotąd wątpić należy, czy potrafią ujeździć go dla siebie.

W gruncie rzeczy — zgodzi się chyba na to każdy umysł trzeźwy a nieobłudny — materyalna osnowa czy to religii, czy jakiegoś przygodnego systematu metafizycznego jest prawie obojętną i dotyczy właściwie szczupłego tylko kółka uczonych, którzy mają prawo faktycznego i logicznego jej oceniania i to wtedy tylko, gdy ów religijno-metafizyczny pogląd chce dla wszystkich i bezwarunkowo uchodzić za coś innego niż za wytwór religijnego poetyzmu; gdy tymczasem to, co stanowi istotną, że tak powiem, użytkową wartość tych systematów, jest to ich strona moralna, która porusza masy i warunkuje ich cywilizacyjne znaczenie. Nawet nie wytrzymując krytyki pozytywnej, dobrą jest każda re-

---

— Dlaczegoż nie? Toż i ja nim jestem, ja!

— Ależ ty masz *mnie!*

Wybuch śmiechu. Widzimy, że Matylda miała wielkie o sobie i swej piękności przekonanie, ale dlaczegoż nie chciała, ażebym się ożenił, ona, dla której byłem niczem jako mężczyzna! Serce kobiety jest przepaścią, nawet kiedy ona nie kocha.

XIII.

Podczas mego współpracowania w dzienniku francuskim, czytając wszystkie fejletony paryskie o Racheli, posłałem do *Swiata eleganckiego* w Lipsku artykuł o niej, datowany z Paryża — prawdziwy dytyramb! Po przybyciu do Paryża przetłomaczyłem go na francuski, posłałem Racheli i prosiłem o udzielenie mi posłuchania. Mieszkała podówczas w pasażu Véro-Dadat, w małym apartamencie na antresoli. Przyjęła mię z wdziękiem; leżąc na szezlągu, z artykułem niemieckim w ręku, rzekła do mnie:

— Niepotrzebnie go pan tłomaczył na francuski, czytam po niemiecku — i chcąc mi powiedzieć coś przyjemnego, dodała: Pański artykuł tak się wzbija nad poziom zwykłych fejletonów, że żaden z dzienników francuskich by go nie przepuścił, nawet gdyby był pisany wierszem. Ten zapał poetyczny dla artystki nie leży w naszych zwyczajach. Powiedzianoby, żeś pan we mnie zakochany i szydzonoby z pana!

Widziałem Rachelę dwa razy u Heinego. Pierwszy raz—w Montmorency, gdzie Heine mieszkał w sąsiedztwie Alfonsa Royera. Była u niego na obiedzie z Gautierem i Gerardem. Było to w r. 1837 lub 8. Zaledwiem się ośmielił powiedzieć jej kilka komplementów. Była ona wtedy w pełni swej sławy a Heine wyniósł ją był pod niebiosa w jednym z dzienników niemieckich. Inaczej wszakże odbyło się drugie nasze spotkanie u Heinego w Paryżu, w pięć lub sześć lat później. Pracowałem wówczas w *La Democratie* i w *Corsaire-Satan* i porzuciłem już oddawna prasę niemiecką. Straciłem z oczu dom Racheli. Jej awantury z Véronem zgorszyły mię nie przez pruderyę, ale dlatego, że była żydówką i jako takiej przeznaczonem było rzucić promień sławy boskiej na swój naród i plemię, a który to promień i sławę sprzedała za kilka biletów tysiącofrankowych skrofulicznemu starcowi. Była u Heinego na obiedzie z matką, a prócz Matyldy, Ludwika Wihla i mnie, nie było więcej nikogo. Słuchałem jej z uszanowaniem, nie ośmieliwszy się wziąć udziału w rozmowie z Heinem o Schillerze i Goethem, których nie znała, jakkolwiek język niemiecki nie był jej obcym. Nagle, zwracając się do mnie, rzekła?

— Cóż pan mówisz o napaściach, wymierzonych przeciwko mnie przez małe dzienniczki.

W liczbie ich był *Corsaire-Satan*, który wyszydził jej stosunek z Véronem i zarazem dotknął innych z pewnym hrabią.

— Nie śmiem wypowiedzieć pani całej mojej myśli — odrzekłem — bo nie zwykłem nigdy mówić, czego nie myślę.

— Ośmiel się pan — odpowiedziała.

— Jako francuz—rzekłem — podziwiam panią. Jesteś pierwszą tragiczką w świecie. Oświadczyłem to, zanim cię poznałem; jako żyd wszakże — pozwól mi pani to powiedzieć — uważam cię za ostatnią z żydówek!

— Widzisz — powiedziała, zwracając się do swej matki — widzisz tego żydka, który mię znieważa, gdy najwięksi mężowie Francyi zarzucają mię pochwałami! Wszyscy oni tacy!

Heine robił mi wymówki. Matylda tryumfowała. Czułem, żem popełnił głup-

ligia i system metafizyczny, który utrafia w ducha jakiejś wielkiej grupy umysłów, który koi jakieś bóle powszechne, daje idealne zadowolenie jakimś ogólnym pragnieniom lub otwiera dla myśli i uczucia niezmierzony widnokrąg, choćby na tym widnokręgu rozlaną była rozpacz i głucha rezygnacya skrzywdzonej ofiary, (jak np. w hartmanizmie). Dołączywszy do tego jedno jeszcze wymaganie ujemnej natury, mianowicie, iżby system nie przeczył współczesnym moralnym pojęciom i dążeniom, uznamy, iż każdy pogląd, jeśli powyższym warunkom odpowiada, ostać się jeszcze może. Jakież są moralne konsekwencye poglądu, wysnutego przez p. Str.? Wprzódnim obiecuje nieśmiertelność, zapytuje on człowieka o jego moralną a właściwie, jak zobaczymy, umysłową legitymacyę; do notowania zaś wartości ludzi posiada on tylko dwie rubryki i w tem się zdradza psycholog starego pokroju, który zna dwie tylko dusze ludzkie: z tych jedną jest jego własna, drugą — nieokreślona jej negacya. Dowiadujemy się tedy, że „każdy człowiek myślący, na najniższym nawet szczeblu rozwoju intelektualnego, wytwarza sobie pewne pojęcia o swem *przeznaczeniu* i swych *zadaniach życiowych*, a następnie dąży do ich urzeczywistnienia w praktyce.“ Z tego jednak stycznego punktu rozchodzą się ludzie w dwie różne strony: jedni zaprzeczają nieśmiertelności, mają ideały „nie wyższe nad zakres zwierzęcego bytu,“ odrzucają „pracę nad samym sobą i uszlachetnieniem swego charakteru — bo z tem życiem wszystko się kończy,“ idą tylko za swemi zachciankami i popędami itd. Drudzy za to zupełnie co innego: „czują oni swe wznioślejsze przeznaczenie, dobro ma dla nich wartość samo w sobie,“ „za najgłówniejszy cel życia“ mają udoskonalenie samego siebie, rozjaśnienie swych myśli, uszlachetnienie swych uczuć i dążności, wszechstronne kształcenie swego ducha; dla urzeczywistnienia tych celów chętnie niosą w ofierze swój dobrobyt zmysłowy; wreszcie wierzą w nieśmiertelność i troskliwie pielęgnują w sobie ideały dobra, piękna i prawdy, i ci to jedynie stanowią zarodki, które Bóg zachowa wiecznie dla wytworzenia istot wyższego rzędu. Nie trzeba wielkiej znajomości ludzi, aby dostrzedz, jak mało obraz powyższy odpowiada rzeczywistemu ukształtowaniu ludzkich charakterów, umysłowych i moralnych. P. Str. stworzył sobie parę abstrakcyj i o ich losie z łatwością rozstrzyga, lecz cóż się stanie z rzeczywistymi ludźmi, ową masą dusz szarych i chwiejnych, ani złych ani dobrych, któremi Dante zapełnił cały krąg piekła, a które na ziemi stanowią ogół? To, co warunkuje etyczne życie większości, nie jest to ani świadomy rozmysł, pojęcie wytkniętego celu, ani stała idea obowiązku: zachowanie się człowieka jest raczej ogólnym wynikiem utajonej a powikłanej gry ciemnych instynktów, przyzwyczajeń, egoizmu i sympatyj, pośród których zrzadka wystrzela jakaś żywsza namiętność i zakorzenia się na czas jakaś *idea fixa*—może obowiązku, a może nie. Porwani wirem powszednich celów i interesów, pragnący to zadowoleni, zdeptani to zwycięscy, w zawrocie codziennych prac i drobnostek, kończą oni życie, nie znalazłszy czasu, chęci, ani skłonności do zdania sobie sprawy z celu tego życia i swych przeznaczeń. A ileż to dusz cichych, które jakby urodziły się do cnoty i poświęceń, które je pełnią nieświadomie i bez wysiłku, wolne od namiętności grzeszą tylko przez nieświadomość, są dobre tak jak są piękne, bo innemi być nie mogą, a ani razu nie wzniosą się myślą do jakichkolwiek ideałów? Ileż z drugiej strony takich, którzy najwznioślejsze żywiąc ideały dobra i prawdy, najlepszemi zagrzani chęciami, czy dla braku zdrowej oceny stosunków, czy subtelniejszego współczucia, goniąc szczerze za ideałem, przez całe życie sieją spustoszenie w bliższem lub dalszem otoczeniu, zdają się być przekleństwem swej rodziny i swego kraju i oni sami nie najmniej na tem cierpią? Cóż tu rozstrzyga o przydatności ich zarodka, intencya, czy skutek? A czemże będą wobec wielkiego sędziego, który brakować ma dusze dla swego lepszego świata, owe miliony „cichych i ubogich duchem,“ o których Chrystus powiedział, że oni to „zostaną pocieszeni i wejdą do królestwa niebieskiego,“ oni, którzy nieraz są źli przez słabość, okrutni przez głupotę, zawsze poziomi przez ograniczenie, a jednak cierpią i pragną! Po cóż ich stworzono, jeśli mają być zatraceni?

Wydziedziczeni i odarci z dóbr tego świata materyalnych i moralnych, wy, których rozum za mały, serce za ciasne, wola za słaba dla ideałów prawdy, piękna i dobra; wy, którzy uginacie się pod brzemieniem własnej głupoty i występku, cudzej siły i rozumu — słuchajcie, co wam obiecuje doktór filozofii, który jest rozumny, cnotliwy i zna ideały dobra, piękna i prawdy: „Stworzono was na próbę.“ Na waszem drgającem boleścią sercu przez lat kilkadziesiąt robiono eksperyment, który chybił. Był ktoś, co, jak chirurg-partacz szafujący krwią i cięciami, nastwarzał dusz miliony, ażeby cierpiały na marne dopóty, dopóki on błędu swego niepostrzeże i nie powie: „dosyć, omyliłem się, jesteście niepotrzebni, możecie umrzeć,“ a umierać będziecie po dwakroć: naprzód ciałem, a potem jeszcze dobiją was na duszy.“ Tak, przegraliście walkę doczesną tutaj—w szpitalach i więzieniach; jedni mówili wam, że się na tem wszystko skończy, drudzy obiecywali, że tam wygracie, aż oto nowy głos zapowiada, że i tam raz jeszcze przegracie, a dlaczego? Dlatego—żeście słabi! I oto, walkę o byt, którą ludzie chcą ograniczyć pośród siebie na ziemi, p. Str. przenosi do nieba, a najwyższym jej stróżem i wykonawcą stanowi — Boga. Czyż to nie jest atawistycznie odradzający się pogląd dzikiego człowieka, który wierzy, że jego bóstwo mścić się będzie i zabijać tych, którzy mu nie potrafili dogodzić? Cóż na to wy, panowie Skiby, Kamienni i tym podobni, czemu nie rozedrzecie szat swoich? Czy dla tego może, że to wychodzi z pod ostemplowanego pióra?

Wzmiankowałem pierwsze źródło całego tego poglądu: jest niem pogańska starożytność, która ignorowała prawa jednostek słabych i upośledzonych, a niewolnictwo podniosła do godności koniecznej zasady: zgodnie też z procesem tworzenia się każdej religii, urabiała i swoję na podobieństwo ziemskie, przenosząc do niej stanowy egoizm, rozbrat między gminem a wybranymi mędrcami. Ale my przeszedłszy długie wieki chrześciańskiej kultury, wznieśliśmy znacznie wyżej nasze ideały moralno-religijne, w duchu powszechnej równości, miłości i przebaczenia. Jedni ograniczają się do urzeczywistniania tych ideałów w życiu doczesnem, inni budują z nich piękny gmach zaświatowego królestwa; jak jedno, tak drugie ma swoję racyę bytu, lecz pamiętać trzeba, że nie narażając ideałów doczesnych, nie możemy bezkarnie plugawić owego zaświatowego królestwa, a jeśli już chcemy je reformować, to raczej w odwrotnym sensie — oczyszczając je z pewnych pozostałości średniowiecznego barbarzyństwa. Kto przeciw tym wymaganiom wykracza, popełnia prawdziwy grzech przeciwko... duchowi świętemu.

J. W. Dawid.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, luty.

Nieobecność u nas studyów romańskich. — Prof. Freymond. — Pisma Landaua i Desaivre'a. — Teologia na-

---

stwo. Podnosząc się od stołu, powiedziałem jej:

— Dowiedz się, panno Rachelo, że żyd, pragnący uchodzić za uczciwego, musi być trzy razy uczciwszym od protestanta, żydówka zaś, pragnąca uchodzić za cnotliwą — trzy razy cnotliwszą od katoliczki. Nasz przyjaciel Heine, który jest *geszmat* (w żargonie znaczy: chrzczony), mógłby coś o tem powiedzieć. Dzienniki nie prawiłyby tyle o twoich miłostkach, gdybyś pani była katoliczką! Mars, Georges, Dorval — nie są niewiastami świętemi, ale od żydówki, żeby jej nie spotwarzyć, żąda się potrójnej cnoty. Wystarczy jednego błędu, ażeby ciśnięto na panią nie kamieniem, ale całym wozem brukowców. Kiedy czarujesz w *Fedrze*, nie nazywają ciebie żydówką, kiedy się wszakże afiszujesz z Véronem, krzyczą, jak pani sama to uczyniłaś przed chwilą: *Oni wszyscy tacy!* To powiedziawszy, oddaliłem się.

Znacznie później, na kilka miesięcy przed jej śmiercią, spotkałem ją w ciasnym i ciemnym korytarzu *Komedyi Francuskiej*. Wyglądała jak cień pokutujący, wijący się przy ścianie. Spojrzała na mnie, a poznawszy, schwyciła konwulsyjnie moje ramię i rzekła:

— Ty jeden powiedziałeś mi prawdę, ale już zapóźno!

Gdy zaskoczony szukałem odpowiedzi, zniknęła.

XIV.

Czy Heine znał język francuski? Za życia swego ogłosił kilkanaście artykułów w *Revue des Deux-Mondes* i dał przetłomaczyć niektóre swe dzieła. Czy pisał je po francusku sam? Oto pytanie, które mi zadawano już nieraz. Henryk Heine nie znał języka francuskiego gramatykalnie, nie umiał godzić trybu łączącego z oznajmującym, ani też odmieniać imiesłowów podług rodzaju względnie do rzędu pośredniego lub bezpośredniego. Utwory swoje dawał do przekładu niejakiemu Wolfowi, alzatczykowi, a te, które sam pisał po francusku, wygładzał początkowo Gerard de Nerval, jedno z najlepszych piór owej epoki, następnie jeden z urzędników Buloza. Jeśli nie zżył się z gramatyką, przyswoił sobie ducha języka lepiej, niż jego tłomacze. Czytał i odczytywał każde zdanie i przy każdym niestosownie użytym wyrazie zatrzymywał tłomacza i w krótkim czasie odnajdywał i zwrot właściwy i wyraz odpowiedni.

Niejednokrotnie zapytywał mię:

— Znasz ty język francuski?

— Rzecz pewna, że nie. Prócz Wiktora Hugo — odpowiedziałem — nikt go nie zna.

— Czy mógłbyś przełożyć moje *Lieder?* Mówiono mi, iż są one nie do przetłomaczenia.

— Twierdzić coś podobnego mogą tylko niedołęgi — odparłem. Dla doskonałego wszakże ich przełożenia nietylko trzeba znać wybornie oba języki, ale nadto trzeba być poetą, jak pan. Gdybym nie miał głowy, nabitej zawsze jakąś własną szaloną robotą, spróbowałbym tłomaczyć pana, chociażby tylko dla dania pojęcia o pańskiej poezyi twojej żonie, która mię często zapytywała, „czy to prawda, że taka piękna?“

— Ah! zapytywała cię o to? Faktem jest, że z niemieckiego zna jedynie wyrazy: *ich bin eine wilde Katze* — jestem dziką kotką.

(D. c. n.)

ukowa i my. — Mikroskopijne badania teologiczne: Wright i Grill. — Nowe dzieła: Hilgenfelda, Lipsiusa, Seydla, Hatcha, Wünschego i in. — Nowo wynaleziony rękopism Kanta. — Także list Helnego.

Rozpatrując okazy piśmiennictwa naszego naukowego z lat ostatnich, każdy ze smutkiem ujrzy, że nietylko nielicznemi są one naogół, ale istnieją całe działy wiedzy zgoła u nas nieuprawiane. Pomijając inne, wspomnę dzisiaj o dwóch tylko, które kwiną i bujają w literaturach europejskich, a u nas albo wcale ich niema, albo też ukazują się w jakiejś cudownej, przedpotopowej postaci. Mam na myśli dwie, niepokrewne z sobą i niejednej wagi specyalności: badania romańskie i teologię.

Pierwsze uprawiamy chyba tylko praktycznie, paplając i dzieci ucząc szczebiotać po francusku. Ale potężna ta gałąź wiedzy, ochoczo uprawiana w świecie romańskim i germańskim, niema u nas ani jednego przedstawiciela, czy to w postaci uczonego, czy w formie, jeżeli już nie oryginalnej, to choć przetłomaczonej książki. Gorzkimi moimi nad tem żalami podzieliłem się niedawno z tutejszym profesorem panem Freymondem, który, „choć niemiec, lecz głos ludzki rozumie,“ ba, nawet dobrze mówi po polsku, bo też urodzony z polki, Gruszczyńskiej, a wychował się w Wrocławiu; od lipca jest tu prywatdocentem filologii romańskiej. Nie zdołaliśmy rozwiązać zagadnienia, dlaczego w literaturze naszej, skądinąd jako tako rozwiniętej i podążającej za rozwojem europejskim, w rzeczach romańskich panuje ciemność egipska, podczas gdy na zachodzie Europy z dziesięć czasopism specyalnych uprawia tę gałąź, nie mówiąc już o całym zastępie uczonych i mnóstwie dzieł nią się zajmujących; dlaczego uniwersytety lwowski i krakowski nie pomyślały o utworzeniu choćby jednej na współkę katedry filologii romańskiej? Nadaremniebym tedy wspominał tu o nowszych na tem polu publikacyach, bo kogóżby u nas zajęły? Wymienię więc tylko parę dostępniejszych i ogólniejszego znaczenia rozpraw, które niedawno z druku wyszły.

W Niort, we Francyi, wychodzi oddawna pamiętnik naukowy (*Mémoires de la société de statistique, sciences, lettres et arts*); otóż w ostatnim tomie jego spotykamy obszerną i zajmującą rozprawę pana Desaivre: mit o Meluzynie; lecz ponieważ wkrótce się ma ona ukazać w oddzielnem, powiększonem wydaniu w Paryżu, przeto szczegółowy referat odkładam na później. Drugą ciekawą nowiną romańską jest powtórne, znacznie zmienione i powiększone wydanie książki M. Landau'a: „Źródła Dekameronu“ (*Die Quellen des Dekameron*, Sztutgart, 1884); bardzo zajmujące poszukiwanie i zestawienie pierwowzorów wschodnich, zachodnich, talmudycznych, biblijnych, historycznych itd., z których Boccaccio czerpał wątek do sławnych swych nowel. Landau dwadzieścia lat pracował nad tą skromnego zakresu monografią; to też nie dziw, że jest wyczerpującą, a chociaż pełna erudycyi, czyta się przyjemnie; tłumaczą ją obecnie na język włoski.

A teraz słów kilka o drugim dziale wiedzy, który dla nas i u nas zupełnie jest obcym. Mówię tu o teologii, jako nauce; nie o tej, której szczytem, wedle niedawnego oświadczenia wyroczni rzymskiej, ma być „doktór anielski,“ św. Tomasz z Akwinu, a którą z gorliwością, godną synów XIII wieku, uprawiają cywilni i duchowni nasi scholastycy w Krakowie i gdzieindziej, ale o tej szanownej gałęzi nauk historycznych, która bujnie się rozrasta na całym zachodzie Europy, a u nas absolutnie jest podobno wyklętą. Mówiąc specyalnie o Niemczech, niepodobna nie wyznać, że, mimo ogólny prąd pozytywistyczny, który powolnie ogarnia najniedostępniejsze dotąd warownie dogmatyzmu i scholastyki, większość teologów nie może się wyzwolić z zaklęcia apologetycznego. Jednakże od czasu rozkwitu tak zwanej szkoły tybingieńskiej, widocznym jest zwrot ku bezwzględnej prawdzie i szczerości. Żywioł historyczny pogłębił badania teologiczne, dodał im życia i prawdy. Brak jeszcze szerszego uwzględnienia żywiołu porównawczego: ten jedynie uczyni z teologii wiedzę prawdziwą, ewolucyjną i uwolni ją od tendencyjnych fałszów, niedomówień i sofistyki.

Dawniej już wspominałem o czasopiśmie francuskiem *Revue de l' histoire des religions*. Obecnie ukończyło ono czwarty rok istnienia, dając w ręce publiczności ostatni, szósty zeszyt z r. 1883 i zapowiadając dalsze swe istnienie. Rocznik ten mieści w sobie zajmujące i gruntowne rozprawy; wymieniam najciekawsze: Nicolasa o Filonie aleksandryjskim; Gaidoza paralela pomiędzy obrzędami religijnymi starożytnego Rzymu a dzisiejszego Kongo; Beauvois'a o raju podaniowym; Vernes'a o początkach dziejów starożydowskich; oprócz tego przeglądy najnowszych pism treści dziejowo-religijnej mieszczą się w każdym zeszycie, ułatwiając czytelnikom wytworzenie sobie pojęcia o ruchu naukowym na tem polu.

W Niemczech, oprócz czasopism teologicznych, których liczba i odcienie są bardzo znaczne, ukazuje się mnóstwo prac oddzielnych, obrabiających różne, szersze i ciaśniejsze zagadnienia staro i nowotestamentowe, a także nie należące do sfery chrześciańskiej. Do jakiej mikroskopowej skali posunęły się te badania, niech parę przykładów następnych okaże. Wspominałem niedawno, z powodu świeżej monografii Renana, o Kohelecie, czyli tak zwanym Kaznodziei Salomonowym. Tekst księgi tej zajmuje zwykłego formatu Biblii cztery do pięciu kart. Otóż, nie zapuszczając się w przegląd literatury, traktującej o tym małym ustępie starotestamentowym, a która dość jest obfitą, wspomnę o najnowszej pracy teologa angielskiego Wrighta *The book of Koheleth* (Londyn, 1883). Komentarzowi nad czterokartkowym „Kaznodzieją“ poświęca on ogromny tom, o pięciuset przeszło stronnicach! Znajdujemy w nim wprawdzie nowy przekład, i obszerne objaśnienia, i polemikę z pokrewnymi kaznodziei duchem pesymizmu Schopenhauerem i Hartmannem, i długie wywody o emancypacyi kobiet; ale, bądź co bądź, autor jest uczonym i wcale nie od rzeczy mówi; a jednak tak potężny komentarz do czterech kartek zakrawa rozmiarem swym na owe folialy mistrzów scholastyki, objaśniające Arystotelesa lub Apokalipsę. Niemniej przeraża książka Grilla: *Der LXVIII Psalm* (Tybinga, 1884). Może to najobszerniejszy na świecie komentarz (240 str.), w stosunku do rzeczy objaśnianej, która na jednej stronie się mieści; a jednak krytyka chwali tę pracę, jako sumienną i uczoną. Niech te dwa przykłady dadzą czytelnikom naszym miarę zabiegliwości i skrzętności teologów zachodu, którzy, jak przyrodnicy, nie gardzą żadnym szczegółem badania, w tem przekonaniu, że całość wtedy dopiero wyjaśnić będzie można, gdy cząstki jej zbliska i dokładnie poznane zostaną.

Pozwalam sobie wymienić tu kilka najnowszych dzieł treści teologicznej obszerniejszego zakresu; wybieram te tylko, które umiejętna krytyka przychylnie powitała. Profesor jeneński Hilgenfeld ogłosił świeżo dzieje odszczepieństw w pierwszych wiekach chrześciaństwa (*Die Ketzergeschichte des Urchristenthums*, Lipsk, 1883); rzecz bardzo zajmująca i mało uprawiana, a u nas, sądzę, zgoła umiejętnie nie napoczęta; tom ten doprowadza rzecz do końca II wieku. Okazuje się tu (nie mówiąc już o niezgodach Pawła z Piotrem, których legienda później dopiero złączyła w męczeństwie rzymskiem), iż od samej kolebki chrześciaństwa umysły bardziej filozoficzne protestowały bez przerwy, chociaż, przez czas długi, i bez widomego powodzenia. Tak zwana „gnoza“ ciągnie się nieprzerwanym łańcuchem od samego początku aż po dzień dzisiejszy, upominając ślepą wiarę w imię rozumu, aby nie wpadała w ostateczność. Niema dogmatu, niema cząstki dogmatu, któreby nie wywołały w swoim czasie protestów jakichś Walentynian, Marcyonitów, Karpokracyan, Nikolaitów, Docetów, Monarchian, Patrypassian i tylu innych, którzy swoje zuchwalstwo najczęściej życiem opłacali.

Lipsius, jeden z najlepszych teologów niemieckich, ciągnie dalej obszerną swą pracę o apokryfach aktów apostolskich*). Wogóle cały dział apokryfów, starotestamentowych, ewangelicznych i innych nowotestamentowych, u nas będący „ziemią nieznaną,“ pod wielu względami zajmować może: naprzód jako obfity materyał do wszechstronnego poznania i ocenienia tych części Biblii, które za kanoniczne uznano; powtóre jako źródło do dziejów kultury ówczesnej; po trzecie jako jeden ze składników cywilizacyi średniowiecznej, która obficie się zasilała tomi zasobami do kazań, przypowieści, legend i kronik; wspomnijmy tu np. pomnik języka polskiego, zwany zabytkiem Działyńskiego: kazanie, którego stanowi, snuje wątek z ewangelii, należącej do szeregu tak zwanych apokryficznych. Bardzo wiele też podań naszych płynie ze starodawnych pism niekanonicznych.

Prawda donosiła już dawniej o zajmującej książce Seydla, której autor szuka podobieństwa niektórych rysów ewangelicznych z podaniami buddystów. Otóż parę tygodni temu pojawił się dodatek do tej pracy, p. t. „Legenda o Buddzie i żywot Jezusa podług ewangelii, badanie ponowne ich wzajemnego stosunku“ (*Die Buddha-Legende und das Leben Jesu nach den Ewangelien, erneute Prüfung ihres gegenseitigen Verhältnisses*, Lipsk, 1884). Seydel nie cofa ani jednego ze swych poprzednich założeń; owszem, nowymi dowodami je popiera, gorzko się użalając na szykany i kruczki krytyki, która, uwierzywszy na ślepo nieprzychylnemu wyrokowi za autorytet w sprawach buddyzmu uchodzącego Oldenberga, dość lekko pomysł autora traktowała. Pociesza on siebie rozmyślaniem, że „kto się wdziera z nową myślą do dawno i starannie uprawianej umiejętności, nie należąc do właściwych jej pracowników, tego oczekiwać musi ociągające się, nieufne, nawet nieżyczliwe przyjęcie.“

Ale kogo wprowadza tak dobrze znany teolog, jak Adolf Harpack, redaktor jednego z najlepszych czasopism teologicznych, ten pewno lepiej będzie przyjęty. Mówię tu o odczytach profesora oxfordzkiego, Hatcha, „O urządzeniu społecznem gmin chrześciańskich w starożytności,“ przełożonych i dopełnionych obszernie przypisami przez Harnacka (*Die Gesellschaftsverfassung der der christlichen Kirchen im Alterthum*, Giessen, 1883); rzecz wysoce zajmująca, umiejętna, acz dostępnie obrobiona: o dyakonach, prezbitrach, biskupach, o wydzieleniu się kleru, soborach, parafiach i katedrach.

Uczony rabin August Wünsche wzbogaca oddawna już i obficie umiejętność teologiczną z niewyczerpanych a mało dotąd uwzględnianych krynic talmudowych. Ogłosił on cały szereg komentarzy zwanych Midraszim (objaśnienia), tłomaczonych na język niemiecki z pism teologów hebrajskich, do różnych ksiąg Starego Testamentu; ostatniemi z nich są Midrasze do Koheletu i do księgi Rut. Wspomnieć tu muszę i dawniejszą jego pracę (z r. 1878), rzucającą pewne talmudyczne światło na ewangielie: „Przyczynki do wyjaśnienia ewangelii z Talmudu i Midraszów“ (*Neue Bei-*

*) *Die apokryphen Apostelgeschichten und Apostellegenden*. Brunświk, 1882 — 1884, dotychczas tomów dwa.

träge zur Erläuterung der Ewangelien aus Talmud und Midrasch); książka ta, obok wymienionych wyżej rozpraw Seydla, obok dawniejszych badań Hofmanna (*Das Leben Jesu nach den Apokryphen*), Gilesa (*Heathen Records*), Baura ((*Drei Abhandlungen*: Apoloniusz z Tyany, Platon i Sokrates porównani z Chrystusem, Paweł i Seneka, wydane przez Zellera r. 1876), Spiessa (*Logos Spermatikos*), Böhla (*Alttestamentliche Citate im N. Testament*), rozszerza zacieśniony zakres umiejętności nowotestamentowej, wprowadzając do niej niezbędne w każdej nauce żywioły porównawcze.

Zamierzałem odbyć przegląd świeższych pojawów literackich na innych polach naukowych, kiedy właśnie wśród nowości filozoficznych, do których miałem przystąpić, pojawiła się już nie nowość, ale nowina: odnaleziono nadaremnie dotąd poszukiwany rękopism Kanta. Wiadomość o tem posiadamy dotychczas w korespondencyi z Hamburga, która obiega wszystkie dzienniki europejskie, głosząc, że pastorowi hamburskiemu, doktorowi Krausemu, udało się nabyć od pewnej osoby, pragnącej pozostać niewymienioną, manuskrypt filozofa królewieckiego, składający się ze stu pięknie a własną ręką pisanych arkuszy, obejmujący traktat *Vom Uebergang von den metaphysischen Anfangsgründen der Naturwissenschaft zur Physik*. Wiedzieli o tej pracy współcześnicy Kanta; wydawca pism jego ogłosił w r. 1842, że zginęła bez śladu. Odtąd kilkakrotnie wpadano na ślad jej, ale zawsze znowu gubiono. Podobno rękopism leżał czterdzieści lat w ukryciu gdzieś w Rosyi. Obecnie, odfotografowany w całości nakładem jakiegoś mecenasa hamburskiego, ma ujrzeć światło dzienne, prawie w lat sto po śmierci autora. Rzecz ciekawa, czy domniemania komentatorów i zwolenników wielkiego filozofa o tej przerwie w wykładzie jego systemu okażą się zgodnemi z własnymi wywodami autora. Jeden ze specyalistów filozofów tutejszych upewniał mię, że nie należy oczekiwać niczego nadzwyczajnego, bo pracę tę pisał Kant w epoce zgrzybiałości swojej.

Odnaleziono też świeżo w papierach po Göthem list Heinego do wieszcza weimarskiego. Ważnym on jest z tego powodu, że dotychczas nie wiedziano z pewnością, czy Heine był u Göthego; prawdopodobnie bowiem, niezbyt uprzejmie przez Jowisza przyjęty, albo niechętnie wspominał o tej wizycie, albo zbywał zapytania żarcikami, utrzymując np. że był wprawdzie u Göthego, ale na widok jego zapomniał języka w gębie i potrafił mu tylko udzielić wiadomości, że po drodze z Jeny do Weimaru rosną bardzo smaczne śliwki, na co Göthe miał się uśmiechnąć i pożegnać młodego współzawodnika.

List ten podaję tu w dosłownem tłomaczeniu; rzuca on niezbyt pochlebne światło na poetę-cynika, dowodząc, że Heine, który się nie brzydził pobierać zasiłków z funduszów gadzinowych króla Ludwika Filipa, który się nie wahał szydzić z biednych wychodźców polskich*), ośmieszając ich ostatecznie, jak powiada Jan Scherr, w oczach opinii niemieckiej, rozgłośnym swym wierszem: „Es sassen zwei Polacken...", w razie potrzeby nie cofał się przed pochlebstwem i przyrzekał „całować rączki" wielowładnego Jowisza, z którego niemiłosiernie drwił sobie przy sposobności.

Weimar, 1 października 1824.

Jaśnie Wielmożnego Pana (Ew. Excellenz)

upraszam o niedmówienie mi szczęścia stawienia się przed Nim na chwil kilka. Nie będę natrętnym, ucałuję tylko rękę Jego i odejdę. Nazywam się Henryk Heine, pochodzę z nad Renu, od niedawna bawię w Getyndze, a dawniej kilka lat mieszkałem w Berlinie, gdzie znałem się z wielu dawnymi znajomymi i wielbicielami Jego (ś. p. Wolfem, Varnhagenami itd.) i codzień się uczyłem coraz więcej kochać Pana. Jestem także poetą i ośmieliłem się przed trzema laty przesłać Panu moje „Poezye," a przed półtora rokiem moje „Tragedye," oraz „Intermezzo liryczne." Prócz tego chory jestem także i dlatego trzy tygodnie temu odbyłem podróż kuracyjną do Harzu; a na Brockenie zapragnąłem powędrować do Weimaru, aby uczcić Göthego. To też odbyłem prawdziwą pielgrzymkę, bo piechotą i w sukni wytartej. Oczekuję spełnienia prośby mojej, pozostając z uwielbieniem i oddaniem *H. H.*

Jan Karłowicz.

*) Zaznaczyć należy, że nie zawsze drwił z polaków, i że jeszcze bardziej drwił z własnych ziomków *Red.*

BIBLIOTEKA MATEMATYCZNA.

Jednym z najdonioślejszych dowodów działalności Kasy pomocy naukowej im. Mianowskiego jest bez zaprzeczenia udzielenie zapomogi Bibliotece matematyczno-fizycznej. Wydawnictwo to, podjęte i zorganizowane przez p. M. A. Baranieckiego, przedstawia się, mimo tak niedawny czas, w którem rozpoczęte zostało, bardzo pokaźnie. Nie licząc bowiem dwu tomików, obejmujących *Wiadomości początkowe fizyki* S. Kramsztyka, mamy, puszczone przy schyłku zeszłego lub na początku bieżącego roku: *Początki arytmteyki* M. Berkmana, *Arytmetykę* (kurs teoretyczny) M. A. Baranieckiego i *Geometryę analityczną* Wł. Zajączkowskiego. Cały plan biblioteki jest bardzo szeroko obmyślany. Składa się ona z czterech seryj, przeznaczonych: pierwsza— dla wychowania początkowego, druga — dla zawodowego, trzecia — dla średniego i czwarta—dla wyższego. Serya pierwsza ukończoną będzie najwcześniej; prócz bowiem dwu wymienionych wyżej tomików S. Kramsztyka i *Początków arytmetyki* M. Berkmana, należą do niej: 1 tomik *Wiadomości początkowych z geografii fizycznej i meteorologii* A. W. Witkowskiego i 1 tomik *O najprostszych figurach geometrycznych* M. Berkmana, które już się znajdują w druku. Z seryi drugiej jest w robocie arytmetyka M. Berkmana; z trzeciej, do której należy także arytmetyka Baranieckiego, znajdują się w druku zadania do niej oraz kosmografia i geografia fizyczna z meteorologią J. Jędrzejewicza; z seryi zaś czwartej, prócz wydanej już geometryi analitycznej Zajączkowskiego, jest na warsztacie: wstęp do analizy M. A. Baranieckiego i rozwiązywanie równań liczebnych J. Suchockiego. Spodziewać się zatem możemy w ciągu bieżącego roku siedmiu nowych tomów. Ten tak szybki rozwój Biblioteki mat. fiz. zawdzięczać należy niestrudzonej działalności głównego jej redaktora, który cały pozostały mu od zwykłych zajęć czas temu tylko poświęca. Drukarnia p. Noskowskiego okazała się także na wysokości tak trudnego w naszych stosunkach zadania pod względem typograficznym. Druk wypuszczonych z pod prasy tomów nie przedstawia nic do życzenia, i jeżeli nie przewyższa, to z pewnością dorównywa podobnym wydawnictwom zagranicą. W końcu Kasa im. Mianowskiego, nie szczędząc swojej pomocy, umożliwiła niebywale niskie ceny książek.

Zajmiemy się teraz pokrótce każdym z trzech ostatnich tomów.

Początki arytmetyki Michała Berkmana są książeczką, przeznaczoną do nauki, z pomocą nauczyciela, dla dzieci, które jeszcze o tym przedmiocie nie mają żadnych wiadomości, Obejmuje ona liczenie ustne i piśmienne oraz cztery pierwsze działania z liczbami całkowitemi w granicach od 1 do 10,000. Redakcya bowiem sądzi, że lepiej jest nauczyć dziecko działać ze zrozumieniem rzeczy na liczbach mniejszych, aniżeli tylko machinalnie na większych. Książeczka składa się z 6-u rozdziałów: 1) traktuje o liczbach od 1 do 9; 2) o cyfrach i znakach; 3) o liczbie 10 i dziesiątkach wogóle od 10 do 90; 4) o liczbach pośrednich między 10 i 20 łącznie z 20; 5) o pośrednich między dziesiątkami łącznie ze 100; 6) o pośrednich między 100 i 10,000. W każdym z rozdziałów wykonywają się, w granicach możliwości i ze wszelką wszechstronnością, działania arytmetyczne z objaśnieniem i użyciem znaków: $+ - \times : =$ i nawet nawiasów; rozdziały zaś 5 i 6 obejmują wszystkie cztery działania z większą ilością szczegółów. Nie zaniedbanem jest także określenie liczby i jej jednostki na podstawie liczenia, jakoteż odróżnienie liczby mianowanej od niemianowanej, z położeniem na to nacisku we wszystkich przykładach. Tym sposobem dziecko nabywa stopniowo od samego początku jasnego wyobrażenia o pojęciu liczby i liczeniu wogóle. Nie zapomniano też i o mierzeniu, chociaż pojęcia liczby z tej zasady jeszcze nie wyprowadzono, ale ograniczono się tylko do wskazania na dzielenie. Cały wykład jest prowadzony według metody poglądowej. Aby uczeń mógł się rozwijać zgodnie z życzeniem autora, książka jest ułożona w pytaniach nauczyciela i poddanych odpowiedziach ucznia. Właściwie przeznaczono ją bezpośrednio dla nauczyciela i dopiero za pośrednictwem tego ma ona na umysł dziecka działać. Dlatego też, w przedmowie do niej, autor gorąco zaleca nauczycielowi przed rozpoczęciem nauczania książkę całą przeczytać, dla obeznania się z duchem metody. Język odznacza się czystością, jędrnością i ścisłością; prócz więc wiadomości z arytmetyki, dziecko, przy pomocy książki Berkmana, przyzwyczaja się jednocześnie do poprawnego i ścisłego wyrażania swoich myśli.

(D. n.)

PALLAS ATHENE.

Z pieśnią na ustach konała Hellada,
W białe się strojąc marmury...
Nad Akropolem, gdzie kolumn gromada,
Stanęła we mgle spowita i blada
Pallas Athene — u góry.
I beznadziejnie było i rozpacznie
W sercu bogini ateńskiej.
I była trwoga, że Grecya niebacznie
Płaszczem zagłady okrywać wnet zacznie
Imię krainy heleńskiej.
Zwolna roiły się widma grobowe
W myśli Atheny Pallady
A opuściwszy niebiańską jej głowę—
Zmienione w chmury złowrogie i płowe —
Drżały nad ziemią Hellady.

Biedni wy! Razem z mistrzami waszymi
Gubią was marzeń odmęty.
Lecąc w błękity, skrzydłami jasnemi
Was oczarował, oderwał od ziemi
Wdzięk ideałów przeklęty.
Wasi przywódcy — Olimpu odźwierni
Baśnie wam prawią o bogach.
Boskim zachwytom oddani i wierni
Już nie widzicie wy nędznej tej czerni,
Co się tu wije w barłogach.
Piękna wam trzeba i słońca pieszczoty,
I nieśmiertelnych przewagi...
Nieba żebracy! Olimpu heloty!
Wyście całunem okryli sromoty
Lud wasz i ciemny i nagi.
Patrzcie na Zeusa: spokojną i dumną
Twarz wam wskazują artyści...
Więc Bóg wasz zimną marmuru kolumną?
Więc gardzi rzeszą tą brudną — a tłumną,
Co w ogniach głodu się czyści?
Czy wam się zdaje, że twarze tych bogów
Ciosy odeprą i gromy?

I że nędzarze, powstawszy z barłogów,
Rozerwą uścisk śmiertelny tych wrogów,
Co przyjdą do was od Romy?
I że z sumienia narodu grzech zmaże
Pędzel lub dłuto artysty?
Że z was histriony, snycerze, malarze,
Słowa tytany i barwy mocarze —
Zmyją ślad hańby wieczysty?
Biedni wy — razem z waszymi mistrzami!
Zgon wasz — w marzenia odmęcie.
Olimp was bogów spokojem omami,
Boście na ziemi być chcieli duchami,
Boście wierzyli za — święcie...

Ucieleśniały się widma grobowe
W myśli Atheny Pallady —
I, porzuciwszy niebiańską jej głowę —
Zmienione w chmury — ryczące i płowe
Drżały nad ziemią Hellady...

Roma ostatnim wężowym uściskiem
Krwawą kończyła już scenę...
I nad zagłady piekielnem igrzyskiem,
Nad ukochanej swej zgonem tak bliskim
Płakała — Pallas Athene.

Maryan Bohusz.

LIBERUM VETO.

Zwierzęta o miłości a ludzie.—Inny język.—Perkun.—Ozdoby miłości.—Sand i parobek, p. Koźmian i Golian.—Miłość idealna.—Z oddalenia.—Kiep i mędrzec.—Pora miłości. — *Biblioteka matematyczna*. — Poważny objaw działań Kasy Mianowskiego. — Cumberland w Warszawie. — Czytanie myśli. -- Niespodzianki. — Niemiłe odkrycie.

Wielka szkoda. że zwierzęta mówić nie umieją, bo pomogłyby nam do rozstrzygnięcia wielu zagadnień. nad któremi ludzie daremnie się trudzą. Tak np. odpowiedziałyby nam na pytanie, co to jest miłość — na pytanie, którego nie mogło rozwiązać tylu poetów i uczonych, począwszy od Homera i Aristotelesa, a skończywszy na p. Erenfeuchcie. Tymczasem gdybyśmy zagadnęli pająka, motyla, słowika, lwa — niezawodnie objaśniłby nas stanowczo a nawet dziwiłby się naszej niedomyślności. Kot, zaczepiony w tej kwestyi, odrzekłby: miłość jest to uczucie marcowe — na dachu! Czyż człowiek byłby rzeczywiście mniej domyślnym, niż pająk, motyl, lew lub kot? E, mądry to figlarz, tylko udaje zakłopotanego. Wie on dobrze, co to jest miłość, ale jako wielki pan, arystokrata, pragnący wyosobnić się ze świata niższych stworzeń, woli ją nazwać „małżeństwem serc“ — „zjednoczeniem się dusz“— „dążeniem do ideału“ — a nawet „natężeniem wrażenia,“ aby tylko nie mianem, które służy całej organicznej naturze. Tak on robi zawsze: według niego ludzie umierają, zwierzęta zdychają; ludzie jedzą, zwierzęta żrą; ludzie mają usta. zwierzęta — gęby i pyski; ludzie posiadają duszę, zwierzęta — popędy. Od takiego upośledzenia nie są wolne nawet te osobniki zwierzęce, które skądinąd cieszą się naszym szczerym szacunkiem. Ot np. znakomity, tyle zaszczytów nam obiecujący i tak już w kraju zasłużony „Perkun,“ który pojechał do Anglii dla wystąpienia na wyścigach głównych — i on. chociaż już bardzo porównany z mniej słynnymi ludźmi, nie korzysta jeszcze zupełnie z ich języka. Jego nauczyciel, E. Martin, uspakajając obawy warszawian o zdrowie swego dostojnego ucznia, pisze w *Kuryerze warsz.* „Perkun jest zdrów i pomału *posuwa się w robocie*, ponieważ jednak przez kilka tygodni zmuszony był z powodu kaszlu przerwać galopowanie, nie może być przeto przysposobionym należycie do walki w tak krótkim czasie, jaki pozostaje jeszcze do Lincoln Handicapu. Jeżeli *robota* „Perkuna“ nie ulegnie nowej przerwie itd.“ Mamy tu wyraz „robota,“ bo mowa o koniu; gdyby to był człowiek, powiedzianoby: „Perkun uczy się dobrze, chociaż na termin nie będzie przygotowany do egzaminu.“ Podobnie z miłością. Ludzie ją rozumieją wybornie, ale ponieważ w określeniu jej musieliby użyć wyrazu, oznaczającego naturę i stosunki „niższych braci,“ więc wykręcają się przenośniami, ogólnikami lub dowcipami. A przyznać trzeba, że do tego pomaga im różnica moralnej i umysłowej zamożności. Bogaty pan, wyprawiający uczty z frakami, kosztownemi toaletami i szampanem, nie nazwie przecie *balem* prostej zabawy chłopskiej, w której biesiadnicy tańcują przy harmonijce, upijają się wódką i jedzą stęchłą wieprzowinę. Również czy pan świata może nazwać *miłością* zaloty zwierzęce? Niema w nich przecie ani rozumu, ani czułych szeptów, ani zapewiedzi, ani ślubów, ani karet, ani powinszowań, ani posagów. Tymczasem wszystkie te piękne ozdoby posiadają tyle wspólnego z miłością, ile muzyka i wino z humorem: potęgują ją, ale nie stanowią jej istoty, która tkwi w potrzebie zadawalania się jednej płci przez drugą. Jeżeli tak nie jest, to zróbmy następujące doświadczenie: w chwili gdy jakiś mężczyzna zachwyca się jakąś kobietą, szepnijmy mu: to nie jest kobieta, ale przebrany chłopiec. Odrazu z zapału ochłonie. Uwierzyłbym w miłość pani Sand do najprostszego parobka, ale nie uwierzę nigdy (wyłączam stany chorobliwe) w miłość p. S. Koźmiana do ks. Goliana, chociażby ten ks. Golian posiadał rozum, urodę, posag i „delikatną skórę“ najidealniejszej panny. Zapewne, piękniejszą i bardziej pożądaną jest suknia wełniana z przybraniem jedwabnem niż nicianem, ale jedwab nie jest koniecznym materyałem sukni. Podobnie: silniej kochaną bywa kobieta piękna, ukształcona i dobra, niż brzydka, głupia i zła, ale nie w tych przymiotach spoczywa miłość. Często dziwimy się uczuciom jakiejś małej Wenery lub Minerwy do wstrętnego Satyra, a jednakże zdziwienie to okaże się bezzasadnem, gdy przypomnimy sobie, że uczucia te są wyrazem bezwiednego upodobania, a nie logicznym, wszystkich ludzi zarówno obowiązującym wnioskiem. Więc niema miłości idealnej? Owszem: między rodzicami i dziećmi, między przyjaciołmi, między małżonkami, którzy wspólnie przebyli dłuższą drogę życia. Ale gdy młodzieniec powiada, że kocha idealnie pannę, którą dziesięć razy widział, której umysłu i charakteru nie mógł poznać, z którą nie łączą go żadne węzły serdecznych wspomnień i poświęceń — to bredzi. On w niej kocha tylko zmysłowo podobającą mu się kobietę. I to jest właśnie całemu światu biologii wspólna, przez poetów najbardziej sławiona, powieści i dramaty wypełniająca miłość, którą jednako odczuwają kot z pająkiem i pp. Kotkowski z Pająkowskim. Może kto zapyta: dlaczego ona trwa, chociaż kochankowie nie zdołają nigdy się z sobą połączyć? Odpowiedź prosta: dlatego, że miłość nie jest nasyceniem, lecz pragnieniem, które nie ustępuje bez względu na to, czy kto ma nadzieję ugasić je, czy też nie.

Z tego wszystkiego wypada wskazówka, że jeśli chcemy należycie ocenić pewien objaw organizmu ludzkiego, trzeba także wysłuchać „niższych braci“ — zwierząt. Są to istoty głupie, ale szczere, podczas kiedy my mądrzy, ale obłudni, nadewszystko zaś chorujący na arystokratyczne pochodzenie, na ową osobną i szlachetną glinę, z której niby jesteśmy ulepieni. Chociażby cię odlano ze złota, mój człowieku, jeżeli jesteś kpem, będziesz mniej wart od mędrca, chociażby on był zrobiony z błota. Przyznaj się więc naprzód do pokrewieństwa z „niższymi braćmi“ a potem badaj swoją naturę bez uprzedzeń i złudzeń.

Dwa wykłady publiczne o miłości już się odbyły a dwa jeszcze odbyć się mają; wobec tego, czyż nie zgrzeszyłbym, gdybym nie poświęcił słów kilku strzałom Kupidyna? Wszędzie a u nas zwłaszcza wszystko czekać musi swojej pory. Zwracaj najdonioślejszym krzykiem uwagę na Kochanowskiego, nikt cię nie usłucha; ale gdy przyjedzie p. Tarnowski, gdy przy odczycie o Kochanowskim zamagnetyzuje publiczność w Ratuszu swoją deklamacyą, dowcipami, spinkami, guzikami brylantowymi, natychmiast możesz prawić ludziom o butach Jana z Czarnolasu i tłum słuchać cię będzie. Dzięki wystawie Dybowskiego, rozprawialiśmy przez kilka tygodni o — kamczadalach.

Niestety, Kasa im. Mianowskiego nie urządziła sobie dotąd żadnego przedstawienia, wątpię też, czy jej wydawnictwa zyskują należyty rozgłos. Najpoważniejszym objawem użytku tej instytucyi jest umiejętnie i energicznie posuwana *Biblioteka matematyczna*. Ocenia ją specyalista na innem miejscu dzisiejszego numeru *Prawdy*, ja tylko podkreślam jej znaczenie społeczne. Za lat niewiele, gdy na innych podręcznikach wychowani może nie będą wiedzieli, co znaczy: *ułamek*, *potęga*, *styczna* itd. znajdą szereg książek polskich, które im wiedzę przechrzczą na język swojski. Takie zaś kosztowne i zarobków materyalnych nieobiecujące przedsięwzięcie, jak *Biblioteka matematyczna*, podjąć mogła u nas tylko *Kasa Mianowskiego*. A czemże ona jest? Skarbcem gromadki ludzi dobrej woli. Ta więc gromadka z własnych, ubogich środków opatruje te potrzeby, które gdzieindziej korzystają z opieki państwowej. Ma ona też słuszny powód chlubić się, że zamiast kilka tysięcy rubli rocznie zmarnowanych na obiadki lub podarki dla aktorek, zbogaca literaturę i podnosi wiedzę krajową.

Wogóle z polecaniem przedsięwzięć użytecznych trzeba się spieszyć, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa przyjedzie do nas popisujący się obecnie w Wiedniu „anti-spirytysta“ Cumberland. Zyskamy na tem zapewne kilku rodzimych Cumberlandów, tak jak zyskaliśmy wielu w swoim czasie Donatów; ale przez kilka tygodni nie będzie można ściągnąć uwagi ogółu do czego innego. Bo trzeba wiedzieć, że ów czarodziej „czyta myśli.“ Każe ci pomyśleć o jakimkolwiek przedmiocie konkretnym, dotyka rękę twoją do swego czoła i prowadzi cię do owego przedmiotu. Ponieważ przed widowiskiem publicznem urządzi niezawodnie „posiedzenia literackie,“ będziemy więc mieli ciekawe odkrycia. I tak okaże się może, iż jeden z dziennikarzy, piszący najczęściej o kościele, zostanie zawiedziony do Stępkowskiego, inny, poświęcający swe krytyczne pióro sztuce, musi stanąć przed baletem, inny, surowy moralista, przed Doliną Szwajcarską. Znam jednego redaktora, który niech nie daje swej ręki Cumberlandowi, bo w chwili, gdy wszyscy mniemać będą, że go anti-spirytysta zaprowadzi na Nalewki, on go tymczasem pociągnie na pocztę, o której antisemita najczęściej myśli, daremnie spodziewając się od niej obfitszych dowodów pięciopieczęciowego „uznania“ ziemian. Jeżeli zaś ustrzeże się chwilowo tej słabości, to znowu czarodziej gotów krzyknąć, jak to uczynił już w Wiedniu:

— Nie mogę zgadnąć, bo ten pan wcale nie myśli.

— Ależ panie, ja jestem autorem.

— Phi! Takim...

— Nie zapominaj się pan: ja jestem redaktorem...

— Phi! Takim... Mój panie, Rousseau już zauważył, że dąb rodzi owoce, równie jak ananas, ale dla kogo?!

No, nie uprzedzajmy wypadków.

. . . .

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Czarne barwy. — Obraza za łagodność wyroku. — Zbrodnie. — Rozluźnienie obyczajów. — Mężczyzna kobietą. — Nieboszczyk powołany do wojska. — Fabryka autografów. — Arytmetyka wołyńska. — Belletrystyka w gospodarstwie. — Logika płocka.

Gdyby brać miarę moralności naszego ludu z codziennie dostarczanych przez gazety wiadomości o przeróżnych zbrodniach i występkach, doprawdy wpaść by można w czarny pesymizm i zwątpić o lepszej jego przyszłości. Prowincyonalni i warszawscy socyologowie widzą źródło złego w niedostatecznej represyi i gotowi są nawet (rozumie się — półgębkiem) przypisać zgubny wpływ urojonej łagodności sądów, jak to uczynił np. korespondent *Gazety polskiej* z Mińska, oskarżając i sąd i adwokata za to, że wyrokiem przysięgłych uwolniony został schwytany na gorącym uczynku kradzieży 18-letni chłopiec. Biedak ten bez środków i opieki zmuszony był opuścić szkołę i żyć... Ale żeby żyć, trzeba jeść, a chleba darmo nikt nie daje; ponieważ zaś nie umiał, czy nie mógł nań zapracować, więc ukradł. Herodowe okrucieństwo korespondenta niezrozumialszem jest z tego względu, że adwokat, przyznając niemoralny postępek swego klienta, nie usprawiedliwiał go nawet wyjątkowemi okolicznościami, ale żądał uwolnienia jedynie dla braku instytucyj poprawczych, w których z młodego przestępcy wyjść by mógł porządny człowiek, gdy ogólne więzienie zrobiłoby zeń skończonego łotra. Przysięgli podzielili ten słuszny pogląd i inaczej postąpić nie mogli.

Nie będę rozpisywał się szeroko o wiejskiej dziewczynie, która dla czterdziestu rubli udusiła drugą kobietę i podpaliła dom — wyjątkowy to bowiem, patologiczny objaw — jak nie będę mówił o owym obywatelu z Kujaw, który w porywie, mniejsza o to, usprawiedliwionej czy nieusprawiedliwionej, zazdrości, zamordował żonę i kuzyna, a później sam się zastrzelił. Doprawdy nie wiem, kto z nich winniejszy... Dobrowolna śmierć nie zmienia znaczenia faktu, świadczącego o pierwotnem, brutalnem pojmowaniu rzeczy, według którego kobieta jest tylko przedmiotem, sprzętem a prawo wyłącznego na zawsze jej posiadania służy mężowi. W wypadku tym proste, *ludzkie* zakończenie sprawy byłoby łatwiejszem, niż zwykle, bo morderca i jego ofiara byli bezdzietni.

Rozumie się nie wszyscy nasi rogonoścy mszczą się w tak tragiczny sposób, jak nie wszyscy amatorowie cudzej własności dochodzą do posiadania pożądanej rzeczy przez uduszenie i podpalenie. Odbywa się to zwykle prozaicznie, bez wstrząsających grozą efektów. Nie mniej wszakże zaznaczone wyżej dwie kategorye występków nadają ton życiu prowincyi. Tu dodać należy, że rozluźnienie węzłów rodzinnych dotyczy nie tylko niewiary małżeńskiej. Owszem, pisma nasze nie mają jeszcze tak dokładnych informacyi i nie donoszą," iż Wojciech Burak, wróciwszy z karczmy, zastał żonę swoją Jagnę z Maćkiem Pakułą w pozycyi, niepozwalającej mu wątpić, że prawa jego małżeńskie haniebnie zostały naruszone. Oburzony mąż wybił lowelasowi cztery zęby, ten zaś złamał mu chrząstkę w nosie. Wdanie się przyjaciół doprowadziło do polubownej ugody, przyczem Pakuła ofiarować musiał garniec wódki i rubla gotówką *za wstyd*."

Rozluźnienie to przejawia się w innych formach, w sporach między rodzicami i dziećmi, w kłótniach między rodzeństwem itp. wypadkach, mających donioślejsze społeczne znaczenie. Zwiększająca się liczba przestępstw dowodzi, że obie instytucye — rodzina i własność potrzebują gwałtownie reformy, żeby uniknąć zupełnego rozkładu. Żadne represye tu nie zdadzą się na wiele, chociaż nie znaczy to bynajmniej, żebym nie uznawał konieczności ich dla utrzymania porządku społecznego. Powoli stosunki ułożą się w wyższe i odpowiedniejsze formy, ale potrzeba na to czasu, nie zaś karzącej rózgi Temidy, albo czarodziejskiej rószczki moralnego wpływu.

Chociaż znowu czarodziejstwa przeróżne nie są u nas wcale niezwykłą rzeczą. Oto np. *Warszawskij Dniewnik* donosi, że w okolicach Pinczowa niejaki Jan Dusza ochrzczony został w swym czasie i zapisany do ksiąg jako — Katarzyna. Jakim sposobem odbyła się ta przemiana męzkiej *duszy* w kobiecą, nie duszę, bo tej baba nie ma, ale tylko *parę*, trudno dziś dociec, dosyć, że biednemu chłopu strasznie było markotno uchodzić za niewiastę i kosztowało go wiele trudu i pieniędzy urzędowe stwierdzenie swej męzkości. Widocznie dobrodziej, spełniający funkcye urzędnika stanu cywilnego, był jednego zdania z ową babą, która na pytanie, jakiej płci jest niemowlę, odpowiedziała: „abo, to nas stać na takie zbytki, zwyczajnie chłopskie dziecko..."

Jeżeli w prowadzeniu ksiąg stanu cywilnego chłopskie dzieci nie zasługują na szczególną uwagę, to cóż dopiero powiedzieć można o żydowskich, które noszą nawet specyalną nazwę *bachorów*. Nie więc dziwnego, że zarząd miejski Taraszczy wysłał do jednej z gmin reskrypt, żądający dostawienia ukrywającego się przed służbą wojskową żydka, a do reskryptu dołączył metrykę, opiewającą, że żydek ten — umarł jeszcze w 1864 roku!

Innego rodzaju czarodziejska przemiana odbyła się w Lublinie.

Do pewnego starozakonnego kapitalisty wezwany został doktór, obejrzał chorego, zapisał receptę wziął rubla i poszedł. Dotąd — jak zwykle. Ale po upływie kilku miesięcy lekarz zapozwany zostaje do sądu o zapłacenie nieznanemu mu Fiszlowi 300 rs. z prywatnego rewersu. Podpis okazał się własnoręcznym, tylko tekst pisał kto inny; doktór zapłacił, ale uwiadomiło wszystkiem policyę, która w mieszkaniu dowcipnego kapitalisty znalazła całą fabrykę fałszywych weksli. Najrozmaitszymi sposobami dostawano cudze podpisy, list lub, jak w danym wypadku, receptę wywabiano chemicznymi środkami i wpisywano, co należy. Na szczęście rozwój tej nowej gałęzi krajowego przemysłu zniszczony został w samym początku.

Ale poszukajmy weselszych obrazów. Korespondent rosyjskiej gazety *Echo* znalazł taki kraj szczęśliwy, w którym chłop ma dosyć ziemi, mieszczanin—zarobków, żyd—korzystnych geszeftów. Na tem jasnem tle jest tylko jedna, według niego, ciemna plama; położenie właścicieli ziemskich polskiego pochodzenia. Majątki ich znajdują się w stanie opuszczenia, lub gorszej jeszcze żydowskiej dzierżawy, a dzieci zmuszone są szukać innych korzystniejszych niż rolnictwo zajęć. Ale zapożyczymy sobie od korespondenta *Gazety polskiej* kilku szczegółów, dokładniej jeszcze malujących wołyńską gospodarkę. Obywatele dzielą się na dwie kategorye: jedni, korzystając z tego, że nikt nie chce majątku subhastować, machnęli ręką na zobowiązania i siedzą sobie spokojnie, nie zważając na wezwanie wierzycieli; drudzy wypuszczają majątek w dzierżawę, nakładając wysokie ceny, rujnujące dzierżawców i niepozwalające im prowadzić porządnego gospodarstwa. Tylko żydzi wychodzą nie źle na tem, bo prowadzą gospodarstwo niszczące, wyciągając z ziemi co się da; za to po upływie kilku lat oddają zupełnie zrujnowany majątek. Trudno zrozumieć, dlaczego właściwie szlachcic wołyński wypuszcza go? Gdyby czynił to dla wyszukania sobie innego zajęcia, gdyby mieszkał w mieście dla nauki dzieci, albo bodaj hulał zagranicą, łatwo bym to pojął. Ale zwykle bywa inaczej. Szlachcic pozostaje na wsi, siedzi sobie we dworze, a całym majątkiem rządzi żyd dzierżawca. Najprostszy rachunek przekonać może, że gospodarstwo na własną rękę daje większą korzyść, bo przecie dzierżawca musi także coś zarobić dla siebie. Zarobek jego w połączeniu z tenutą dzierżawną mógłby stanowić dochód właściciela. Brak kapitału nie usprawiedliwia takiego postępowania, bo gospodarstwo, jakie prowadzi dzierżawca, nie wymaga wcale nakładów. Po prostu jest to okaz miejscowej, wołyńskiej arytmetyki, próżniactwo wykarmione wiekami szczęśliwego używania, niezaradność i brak nauki, rolniczej zwłaszcza. Szlachcic-ziemianin z dziada pradziada opuścił ręce, bo bez pańszczyzny mimo dwudziestokilkoletniego doświadczenia rady sobie dać nie może, o ulepszonej uprawie ziemi, o hodowli inwentarza nie ma pojęcia, nauki nie posiada, książek i pism rolniczych nie czyta.

Co prawda, gdyby je nawet czytał, nie wiele by się nauczył.

Gazeta rolnicza coraz głębiej brnie w literaturę piękną. Ostatni numer tego jedynego specyalnego pisma w tym kierunku, dziwne nieco robi wrażenie: w odcinku powieść, w środku numeru obszerny panegiryk na cześć najnowszej powieści Sienkiewicza. Co to ma z rolnictwem wspólnego, trudno dociec; ale chyba autor *Ogniem i mieczem* i jego serdeczni przyjaciele nie będą się teraz skarżyli na brak uznania, kiedy bohaterowie powieści znaleźli sobie miejsce nawet w przybytku poświęconym gospodarstwu.

Spółka rolników płockich wyśpiewuje znowu na znany temat: i chciałabym i boję się. Przedwstępne czynności zostały szczęśliwie załatwione i spółka miała zacząć swą działalność. Z uwagi jednak, że w bieżącym roku był nieurodzaj, a więc ilość zboża przeznaczonego na sprzedaż nie może być wielką, a głównie, że w Płocku założony został dom komisowy, prowadzony uczciwie przez *chrześcianina*, któremu w początkach współzawodnictwo mogłoby zaszkodzić, panowie inicyatorowie przedsięwzięcia odłożyli urzeczywistnienie jego do przyszłego roku. Nie znając dokładnie warunków miejscowych, nie przeczę temu nie mamy, nie możemy się tylko zgodzić na drugą część motywów. Ekonomiczne znaczenie takich spółek polega właśnie na tem, że usuwają one w handlu zbożem niepotrzebnych pośredników, mniejsza o to, jak kończą się ich nazwiska—na *man*, czy na *berg*.

W jakim więc związku z ich celem może być popieranie domów komisowych — nie pojmujemy. A może to w dopełnieniu do arytmetyki wołyńskiej nowy okaz płockiej logiki?

X. X.

Kałuszyn. Dnia 12 b. m. spaliło się tu kilkanaście domów. Brak wody przeszkadzał ratunkowi.

Skierniewice. W resursie miejscowej odbędzie się pięć odczytów: pierwsze dwa na temat: czem była i czem dziś jest medycyna, dalej: o żegludze napowietrznej, o znaczeniu i celach kary i chorobliwych objawach życia społecznego.

Kalisz. Przemytnicy niepokoją się bardzo pogłoskami o obniżeniu akcyzy w pasie granicznym, bo w takim razie kontrabanda nie miałaby racyi bytu. Przemytnictwo przybiera obecnie olbrzymie rozmiary. *Kaliszanin* donosi, że jeden za kordonem mieszkający szynkarz w ciągu tygodnia przeszwarcował 2000 garncy okowity.

Garwolin. Jeden z okolicznych obywateli p. G. umierając zapisał cały majątek siostrzeńcowi, stawiając jednak warunek, że ciało jego nie będzie pochowane, ale spalone. Ponieważ w kraju niema pieców kremacyjnych, a palenie nie jest dozwo-

lonem—spadkobierca czyni u władz starania o pozwolenie wywiezienia zwłok nieboszczyka do Wiednia, ażeby tam je spalić.

Lublin. W Sądzie Okręgowym rozpatrywaną była sprawa włościan wsi Skrzynice, którzy napadli na przejeżdżających żydów i jednemu z nich wybili oko. Okazało się, że włościanie z tej wsi niejednokrotnie już zatrzymywali przed karczmą żydów i bili ich.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 12 marca.

Potrójne przymierze. — Aresztowania w Wiedniu. — Międzynarodowe przymierze przeciw anarchistom. — Wrzenie we Francyi.—Tonkin i Egipt.—Mowa tronowa i zjednoczenie liberałów w Niemczech.

Zbliżenie się Rosyi do Niemiec, zaznaczone urzędownie, dało temat dziennikom do snucia najdziwaczniejszych domysłów. Obecnie na porządku dziennym stoi kwestya: czy związek trójcesarski zostanie wskrzeszonym i jakie zmiany nowy zwrot wywołać musi w przymierzu austro-niemieckiem? Termin zobowiązań wzajemnych upływa podobno w grudniu. Zdaje się, że polityka narodowościowa hr. Taaffe odwróci swój kierunek i że głównym charakterem jej stanie się reakcya. Jak w tym wypadku zachowa się Koło posłów galicyjskich? Dziś już spotkał je niemały zawód; wszystkie prawie jego żądania zostały uchylone. Dzienniki miejscowe wzywają przedstawicieli kraju do zajęcia wobec rządu stanowiska opozycyjnego, ale wątpić można, czy potrzebna większość Koła usłucha tej zdrowej rady.

W Wiedniu nastąpiły nowe aresztowania, przyczem odkryto skład dynamitu i różne kompromitujące papiery. Anarchiści główną działalność przenieśli do Pesztu, czem nie mało narobili kłopotu rządowi węgierskiemu. Nie życzy on sobie ich obecności, z obawy jednak narażenia się opinii publicznej nie może zdecydować się na stanowczy krok. W Zagrzebiu aresztowano również wielu socyalistów a w Zagorju wybuchły znowu rozruchy, charakter ich jednak nie jest jeszcze dokładnie wiadomym.

Zamiar zorganizowania międzynarodowego związku przeciwrewolucyjnego przybiera coraz wyraźniejsze kształty. Z natury swej jednak rokowania w tej sprawie a po części nawet rezultaty trzymane być muszą w tajemnicy i nie przedostają się do szpalt dzienników. Poprzednio mówiliśmy o współudziale Anglii, obecnie i Szwajcarya wchodzi na tę drogę. W kraju tym, będącym dotychczas bezpiecznem schronieniem wszelkiego rodzaju zbiegów politycznych, zastosowano cały szereg środków represyjnych, mających na celu położyć kres czynnej działalności anarchistów.

Oprócz wytworzenia sojuszu żywiołów zachowawczych do walki z rewolucyą — co ma być głównym celem polityki ks. Bismarka—chodziło mu niemało i o odosobnienie Francyi. Jednakże prasa paryska dosyć lekceważąco przyjmuje wiadomości o nowem przymierzu, starając się tylko wykazać Anglii a w części i Austryi, że udział w tym związku nie przedstawia bynajmniej dla nich korzyści. Nie jest jednak i Francya wolną od kłopotów wewnętrznych. Na 18 marca (rocznica Komuny) zapowiedziano wielkie zgromadzenia robotnicze, a prasa skrajnych odcieni wzywa lud paryski do obalenia nowej Bastylii—kapitału.

W Tonkinie wojska francuskie posuwają się powoli, ale ciągle. Nie mogą tem pochwalić się anglicy w Nubii. Mahdi, uznany sułtanem Kordofanu, chętnie podobno poprzestał na tem, ale raz poruszone fale tłumu nie uspokoją się tak łatwo. Zresztą władza Mahdiego nie jest powszechnie uznaną, powstanie oprócz niego ma i innych wodzów zupełnie niezależnych.

Mowa tronowa cesarza niemieckiego przy otwarciu parlamentu zapowiada cały szereg nowych reform socyalnych a zarazem energiczną walkę z partyą rewolucyjną. Ustawa przeciw socyalistom ma być znowu przedłużoną na dwa lata. Może dla pozyskania sobie w tej kwestyi poparcia centrum półurzędowe dzienniki utrzymują znowu, że kwestya ugody religijnej znajduje się na dobrej drodze, o czem zresztą zdaje się świadczyć mianowanie kardynała Ledóchowskiego sekretarzem kongregacyi prośb. Nominacya ta ułatwia mu zrzeczenie się godności arcybiskupiej, co stanowiły niemałą przeszkodę w pogodzeniu się rządu z kościołem.

Odłam narodowo-liberalnych, znany pod nazwą secesyonistów, postanowił połączyć się z postępowcami w jedno stronnictwo pod nazwą „niemieckiej partyi wolnomyślnych.“ Program ich polega na odpieraniu wszelkich napaści przeciw reprezentacyi ludu, utrzymaniu istniejącego w społeczeństwie porządku (?), obronie praw ludu i zwalczaniu wszelkiego monopolu. Nie bardzo to wszystko, co prawda, jasne, ale związek wszelkich liberalnych żywiołów wobec rozwielmożniającej się w Niemczech reakcyi bardzo był pożądanym.

Petersburg. Generał Czerniajew mianowany został członkiem rady wojennej a na miejscu jego generał-gubernatorem turkiestańskim naznaczony gen. Rosenbach.

Paryż. Nietylko monarchowie strzedz się dziś muszą zamachów, ale i pretendenci. Do hr. Paryża wysłano paczkę; zwróciła ona podejrzenie, po otworzeniu jej znaleziono tak wielką ilość dynamitu, iż przy wybuchu mógł był zabić kilka osób.

Konstantynopol. Rząd angielski przysłał Porcie notę, w której uznając prawa zwierzchnicze sułtana do Egiptu, odmawia jednak zezwolenia na interwencyę w sprawach sudańskich.

Londyn. Gen. Graham rozbił wojska Osmana-Digmy.

CUDZE GŁOSY.

Przyłapany. Jaki procent prawdy bywa nieraz w korespondencyach gazet rosyjskich z „Przywiślańskiego kraju“—przekonywa ustęp jednego z „Listów warszawskich,“ pomieszczonych w *Now. Wremieni*. Ich autor podał taki fakt:

...„Niejaki p. Kowalew nabył przed kilkoma laty w Warszawie dom. Od tego czasu miejscowy magistrat zaczął go bombardować papierami pisanemi w polskim *dyalekcie*. Kapitan odpowiadał po rosyjsku, iż nic nie rozumie; to jednak nie pomogło i magistrat w dalszym ciągu komunikował mu papiery i żądał wypłaty kar w tymże *języku*. Rozgniewany p. Kowalew zwrócił się do bezpośredniej swojej władzy, prosząc, aby go uwolniono od obowiązku uczenia się języka polskiego, magistratowi zaś zaproponował, iżby korespondencya z nim, jako z rosyjskim właścicielem domu była prowadzoną w języku rosyjskim. Generał D. zawiadomił o tem generał-adjutanta Albedyńskiego. Nastąpiło zapytanie, na które magistrat odpowiedział, iż działa na podstawie przepisów obowiązujących. Na tem sprawa się skończyła; lecz przy obecnym jenerał-gubernatorze p. Kowalew znowu za pośrednictwem swojej zwierzchności odnowił poprzednie starania. Generał-gubernator zaopiniował, iż magistrat ma obowiązek komunikowania się z właścicielami domów rosyanami w języku rosyjskim lub co najmniej załączać do papieru polskiego kopię rosyjską. Magistrat i tu znalazł furtkę. Miał oświadczyć bowiem, iż nie może tego uczynić, gdyż musiałby trzymać tłomacza, którego utrzymanie nie jest objęte budżetem wydatków magistratu.“

W tem doniesieniu —jak wykazał *Praw. Wiestnik* — tyle jest prawdy, że niejaki p. Konowałow (nie *Kowalew*) miał stosunki z warszawskim Magistratem — zresztą wszystko fałsz. Bagatela!

Może plotka. Gazety rosyjskie doniosły, że p. Kronenberg miał sprzedać bankierom niemieckim $^{2}/_{5}$ akcyj kolei Nadwiślańskiej. Rozmyślając nad tym faktem, *Now. Wremia* powiada:

„Tak znaczna ilość akcyj daje zagranicznemu syndykatowi zupełną możność wpływania i oddziaływania na kierunek ogólnych zebrań i mieć przedstawicieli swoich w administracyi kolei. Jakkolwiek pożądane jest ściąganie do Rosyi zagranicznych kapitałów, to jednak sprzedaż *w tym celu* akcyj polskich kolei żelaznych na rynku berlińskim wydaje nam się niewłaściwą. Jeżeli w zarządach kolejowych na zachodnich naszych krawędziach usadawiają się zagraniczni agenci, to zdarzyć się może bardzo łatwo, że korzystać zechcą ze swej władzy, z krzywdą dla interesów Rosyi ekonomicznych i politycznych. Niepodobna nie zwrócić uwagi na szczególną współczesność tego faktu z dążeniem rządu rosyjskiego do usuwania zagranicznych poddanych z drugorzędnych nawet posad w biurach i zarządach kolejowych, rozumie się z pobudek politycznych. Być może, że to proste zrządzenie jedynie. Ale w każdym razie sprzedanie zagranicy akcyj kolei żelaznych, mających niepoślednie znaczenie strategiczne, wymownie świadczy o potrzebie wykupu kolei żelaznych przez skarb państwa, nietylko ze względów finansowych, ale i dla bezpieczeństwa państwowego.“

Naprzód dotąd nie wiemy na pewno, czy p. Kronenberg sprzedał tyle akcyj, a powtóre, czy upaństwowienie kolei w państwie obdłużonem jest dziś możliwe?

WYKŁADY PUBLICZNE.

I.

O prawnej obronie honoru.
(K. Dunin).

Wywód swój prelegent oparł na szerokiem tle walki człowieka z człowiekiem, która już wcześnie zrodzić musiała w sercu ludzkiem: poczucie krzywdy, żądzę odwetu i potrzebę obrony. Walka ta trwa dotąd, tylko z postępem czasu zmienia pierwotną swą formę. Na pierwszych szczeblach kultury jedynymi jej regulatorami były osobiste instynkty walczących, później chęć zemsty z uczucia czysto indywidualnego przechodzi w instytucyę społeczną i staje się zawiązkiem pierwszej organizacyi walki śród ludzi, oddając słabszych pod opiekę zbiorowej siły. Nie będziemy wraz z p. D. śledzili szczegółowo przejawów rozwoju tego starcia i zmian obyczaju świętej zemsty. Z chwilą utworzenia się państw, podporządkowujących osobisty interes celom ogólnym, prawo t. j. cały system rozporządzeń i rozkazów uświęca rozmaite rodzaje walki, dzieląc je na dozwolone i niedozwolone. Zasadniczej różnicy między temi dwoma kategoryami nie ma, i tu i tam są chciwi rabusie i nieszczęśliwe ofiary, napastnicy i poszkodowani. Stopniowo i powoli czyn niedozwolony staje się przestępstwem, a odwet zań—karą. Wyraźne ślady tego przeobrażenia znajdujemy w historyi. Obronę osobnika bierze na siebie państwo i zmusza go do zrzeczenia się osobistego zadośćuczynienia.

Jest jednak kategorya czynów, w których nie udało mu się w zupełności objąć roli pośrednika: są to przestępstwa przeciw honorowi. Samo nawet państwo w tym względzie zrzeka się wielu swoich praw. Ale czem właściwie jest honor? Potęgą, wytwarzającą i podtrzymującą to tak trudne do u-

jęcia w ścisłe ramy określenia, a jednak tak potężne uczucie, jest głos ogółu, opinia publiczna, treścią zaś jego—pragnienie uznania i szacunku, poczucie własnej wartości. Stanowi ono jednę z norm naszego postępowania (moralność, prawo, religia, honor), które nieraz jednak stają z sobą w kolizyi. Honor, jako uczucie, wyrósł na gruncie wrodzonej ludziom dążności do panowania, do wykazania innym swej wyższości i siły, jest on po prostu uszlachetnioną, uspołecznioną ambicyą. Ten związek jego z siłą stanowi najbardziej charakterystyczną cechę, dlatego nie znajdujemy go tam, gdzie człowiek w zupełności uległ zewnętrznym potęgom, a więc ani w teokracyach Wschodu, ani w świecie klasycznym, w którym państwo pochłonęło samodzielność osobnika. Dopiero w początkach wieków średnich wytworzyło się nowożytne pojęcie honoru. Ludy barbarzyńskie, które obaliły państwo Cezarów, wzięły odeń w spuściznie wiarę i instytucye prawne, obce zupełnie pierwotnej ich naturze. Myśl społeczna wytworzyć musiała samodzielny swój organ—opinię publiczną, nie krępującą się ani przepisami nowozaprowadzonej religii, ani z góry narzuconego prawa. Spór między kościołem i państwem wzmocnił tylko poczucie indywidualizmu. Okoliczności te, które wpłynęły na wytworzenie pojęcia honoru, określiły zarazem i formę jego obrony. Dawne prawodawstwa znają karę za obrazę czci, ale ten sposób obrony skutecznym był wtedy tylko, gdy prawo i sądownictwo wychodziło z łona ludu i było wyrazem jego pojęć. Z chwilą, gdy nastąpił zaznaczony wyżej rozbrat, weszły w zwyczaj pojedynki. Nie będziemy powtarzali znanych skądinąd szczegółów tej kwestyi, ani też wdawać się w polemikę z prelegentem, chociaż co do genezy pojęcia honoru i jego rozwoju mielibyśmy nieco do nadmienienia.

Po tym wstępie, który zajął znaczną część odczytu, przeszedł p. Dunin do skreślenia uznanych przez prawo środków obrony honoru, co właściwie być miało treścią jego wykładu. Jasno i logicznie rozróżnił dwie kategorye przestępstw przeciw honorowi, stosownie do tkwiących w nim dwu pierwiastków: uznania i szacunku ogółu i poczucia siły, a zarazem pod względem naruszenia go materyalnie przez rozgłaszanie ubliżających wieści i formalnie przez okazanie czynem swej wzgardy. Właściwie głównie w pierwszej kategoryi tych przewinień znaleść może zupełne zastosowanie prawna obrona honoru.

Rozgłaszanie o kimś faktów hańbiących może być albo kłamliwem, i wtedy nazywa się potwarzą, albo prawdziwem—wtedy mamy do czynienia z dyfamacyą, tj. osławieniem. W praktyce i teoryi pozostaje dziś kwestyą sporną, czy oba te sposoby rozgłaszania hańbiących wieści ulegać mają karze. Różnica polega na tem, czy i o ile prawo dozwala oskarżonemu zasłaniać się prawdziwością rozgłaszanych faktów. Jeżeli dowód prawdy nie jest dopuszczony, albo tylko dopuszczony wyjątkowo i z ograniczeniami, znaczy to, że ustawodawstwo „broni honoru nietylko tych, którzy się w czynach z nim liczą, ale i tych, ale i tych, co go depczą.“ Dając jednakową obronę ludziom honorowym i niehonorowym, prawo wtedy obraża pierwszych, zmusza ich do szukania innych sposobów zadośćuczynienia i osłabia powagę kary, ogranicza opinię publiczną, gwałci swobodę zdania i wytrąca społeczeństwu najskuteczniejszy środek oddziaływania na rozwój moralny swych członków.

Prelegent jest zdania, że tylko rozgłaszanie czynów stanowiących tajemnicę życia rodzinnego i nieprzyzwoita forma jego powinny być karane. Prawodawstwo nasze stoi na gruncie potwarzy, tj. dozwala w każdym wypadku dowodzić prawdy; tylko w razie rozgłaszania hańbiących wieści drukiem wolno poszkodowanemu skarżyć o dyfamacyę, ale i tu jednak uczyniono wyjątek, dopuszczając w sprawach dotyczących służbowej i społecznej działalności skarżącego składać dowody piśmienne.

Szczupłość miejsca nie pozwala nam na obszerniejsze streszczenie ciekawych wniosków prelegenta. Sądzi on, że wobec jawności postępowania sądowego, wobec uznania swobody zdania w tej kategoryi przestępstw prawne środki obrony są najzupełniej wystarczające, rozumie się, przy największej obszerniejszem, o ile można, dopuszczeniu dowodu prawdy. Skutek ten prawna obrona wtedy tylko odniesie, gdy w zupełności oparta będzie na zrozumieniu istoty honoru. Dowód prawdziwości winien być dopuszczony, nawet gdy skarżący o potwarz uwolniony został wyrokiem sądowym z czynionego mu zarzutu.

Inaczej rzeczy się mają, gdy idzie o czynną lub słowną obelgę. W wypadkach tych prawo nie może ocenić stopnia doznanej krzywdy i wymierzyć w każdym wypadku zasłużonej kary. Dziś, „gdy formy hańbiące stosowane do czynów zasługi stają się odznaczeniami, a na odwrót oznaki zaszczytne stać się mogą w oczach ogółu przedmiotem lekceważenia,“ prawodawstwa uwzględnić winny ten szczęśliwy zwrot w opinii publicznej do zbadania wewnętrznej istoty czynów i oparcia na niem swego orzeczenia. Dałoby się to osiągnąć w ustanowieniu dla spraw o obrazę czci obowiązkowych i przez państwo uświęconych sądów honorowych, złożonych z osób wybranych przez obie strony. Sądy podobne istnieją nietylko w kodeksie wojskowym bawarskim, jak powiada prelegent, ale i w innych, nawet w rosyjskim. Mogłyby one orzekać nawet potrzebę rozprawy z bronią w ręku. W pewnych wyjątkowych razach lepiej pozostawić te środki pozasądowe, jako złe konieczne, otoczywszy je gwarancyami, że nadużywane nie będą.

Przedmiot odczytu rozwinięty był ściśle i systematycznie, wypowiedziany jasno i przystępnie, bez niepotrzebnych krasomówczych zwrotów, ale z przekonywającą siłą logiki. Prelegenta dość licznie zebrana publiczność powitała i pożegnała oklaskami. *P.*

II.

Dwa głosy o miłości.

(W. Marrené i F. Erenfeucht).

Podając przedmiotowe streszczenie odczytu p. Marrené, odłożyłem krytyczną jego ocenę aż do chwili wystąpienia na mównicy p. Ehrenfeuchta, który wypowiedział także swoje własne zdanie „o miłości.“

Najpierwszy błąd szan. prelegentki zawierał się w twierdzeniu, że kobiety starożytne osobiście mniej odpowiedzialne były za zdradę w miłości, niż dzisiejsze. Powoływanie się w tej mierze na świadectwo Homera nie jest stosowne, naprzód dlatego, że „piękna Helena“ uległa przemocy, a następnie ani *Iliada*, ani *Odyssea* nie są wyrazem stosunków i urządzeń, należących do dziedziny historyi. Starożytny pogląd na miłość—jako na bezpośredni objaw woli bogów—upoważnił poniekąd prelegentkę do tego twierdzenia. Głębsza wszakże rozwaga byłaby ją od niego uchroniła. Kobieta w starożytności stanowiła własność mężczyzny; małżeństwo było jedną z form władania, wiemy zaś, że ku obronie jego i religia i prawo i moralność wszystkich ludów dostarczyć musiały oręża. Łatwo też wyobrazić sobie, z jaką surowością karali starożytni nietylko uwodziciela, ale i jego ofiarę. W pierwszym widziano bowiem niebezpiecznego złodzieja, co zaś do drugiej, to moralna jej niepoczytalność puklerzem dla niej być nie mogła. Surowość kodeksów karnych, ściśle biorąc, za cel swój uważa nie idealny wymiar sprawiedliwości, ale zapobieżenie złemu na przyszłość.

Świadectwo poważnych wskazówek historycznych całkowicie pogląd powyższy stwierdzają. Pierwotne obyczaje żydów nietylko zdradę małżeńską, ale upadek niezależnej kobiety, np. wdowy —karały *śmiercią*. Dość będzie, gdy przypomnę tutaj sąd Judy nad Thamarą. Dopiero późniejszy rozwój uspołecznienia karę śmierci zastąpił sromotnem wygnaniem; przyczem kapłani, jako przedstawiciele praw, mieli obowiązek przywołania na głowę nieszczęśliwej najstraszniejszych gromów Jehowy. U greków niewierna żona nie miała prawa noszenia świecideł i ozdób; wstęp do świątyni był jej wzbronionym. Pozwalało się *każdemu* bić ją, znieważać lub *uśmiercić*. Rzymianie również śmiercią karali nietylko uwodziciela, lecz i jego ofiarę; westalki upadłe grzebano żywcem... Odpowiedzialność osobista niewiernych małżonek zmniejsza się nawet z postępem cywilizacyi. Przyprawianie rogów szczęśliwym wybrańcom losu uważa się dzisiaj za brzydką wprawdzie, ale bądź co bądź zajmującą zabawkę. Tolerancya taka jest czynnikiem kiełkujących w społeczeństwie przekonań o niedostateczności praw rozwodowych. Nie wyklucza ona pogardy dla fałszu i oszustwa, ale pozwala dopatrzeć pewnych okoliczności łagodzących.

W miłości starożytnych przeważał pierwiastek zmysłowy, na uduchowienie jej wpływa wyższe stanowisko kobiety w społeczeństwie, Z takiem zdaniem autorki zgodzi się każdy, ale, wyświetlając przyczyny zależności niewiast, p. Marrené za mało zwróciła uwagi na przyczyny ekonomiczne. Nie uszlachetni miłości taki ustrój społeczny, gdzie cudzą pracą zdobyte bogactwa pozwalają wybranym kupować uczucie i gdzie nadmierne trudy paraliżują w masach rozwój wszelkich szlachetniejszych popędów. Mówiąc o wpływach, zmieniających charakter uczuć miłosnych, należało też wspomnieć i o czynnikach zewnętrznych, które sprawiają, iż południowiec np. kochać zawsze będzie inaczej, niż mieszkaniec północy.

Nie możemy jeszcze nie zrobić zarzutu prelegentce za to, że tak po macoszemu obeszła się z „miłością czasów najnowszych.“ Kierunki dzisiejszej filozofii są liczne—prawda, Najróżnorodniejsze prądy i obozy ścierają się ze sobą i walczą—i to prawda; ale każdy z nich posiada swoje ideały. Należało przyjrzeć się im nieco pilniej, W powieściowej literaturze Europy znalazłaby się niejedna postać, którą trzeba było przedstawić publiczności — bodajby ze szkodą szczegółowego opisu Laury.

Nad wypracowaniem p. Ehrenfeuchta zatrzymać się musimy nieco dłużej. Logice, psychologii, anatomii, lingwistyce i filozofii zadał on tak dotkliwe ciosy, że złagodzenie ich wymaga dużo pracy i czasu.

„Miłość, powiedział prelegent, jest natężeniem wrażenia, powodującego wzajemne przyciąganie się dwojga płci ku sobie.“ Określenie to jest po prostu niedorzecznością. Wszelkie wrażenie, jakąkolwiek będzie jego natura, posiadać musi jakiś stopień *natężenia*, Jeżeli prelegentowi podoba się np. kolor włosów widzianej po raz pierwszy kobiety, to, chcąc pozostać wiernym swemu określeniu, musi on upodobanie takie nazwać miłością, gdyż 1) wrażenie, jakiego doznaje, posiada *jakiś* stopień *natężenia* i 2) należy ono do kategoryi tych wrażeń, które powodują itd. Gdyby p. Ehrenfeucht zamiast wyrazu *natężenie*, użył słowa *spotęgowanie*, byłby uniknął może błędów logicznych. Psychologia, co prawda, nie miałaby i wtedy powodów do stawiania mu pomnika, gdyż określenie miłości, jako uczucia niezmiernie złożonego—w karbach *jednego* wrażenia uwięzić się nie daje.

Rozprawiwszy się z miłością wogóle, powziął p. E. szlachetny zamiar przeprowadzenia paraleli pomiędzy uczuciem żeńskiem a męskiem, Z naiwnością przekonywał on słuchaczów dość długo, że kobieta jest piękniejszą od mężczyzny, posiada bowiem okrągłe kształty, cienki głos i jest bardziej wysmukłą. Jest to oczywiście „estetyka płci męskiej.“ Bardziej niezależna nauka o pięknie, opierająca się na prawach harmonii i symetryi kształtów zupełnie innego jest zdania. W całej naturze ustrojowej silniejsza połowa jest zwykle piękniejszą. Tylko przy bardzo silnem „natężeniu“ jakiegoś wrażenia mógł nie zauważyć prelegent swego błędu. Lada elementarz z obrazkami lwa i lwicy, koguta i kury powinien go był opamiętać. Pomimo to jednak nie zdołał zrozumieć p. E., że „estetyczne“ przymioty ustroju kobiet dlatego tylko nas zachwycają, iż są cechami *innej płci*. Z innego punktu widzenia przymioty owe są wadami. Wydatność biustu tak samo narusza symetryę, jak garb na plecach. Zmysł estetyczny każdego z nas, jakkolwiek obałamucony pociągiem płciowym, dopomina się jednak o swoje prawa, ilekroć wzruszenie to przybiera zbyt wielkie rozmiary. Że na widok tej nieestetycznej ozdoby mężczyźni doznają „natężenia wrażenia“—to rzecz całkiem inna. Zaznaczy ją nie estetyka, lecz fizyologia. „Cienki głos“ jest dowodem *słabości*, która jeżeli nas wabi, to dla tego tylko, że wabienie jej i w panowaniu nad nią nasza siła znajduje egoistyczne zadowolenie.

Większa stosunkowo *wysmukłość* kobiet jest osobistą halucynacyą prelegenta. Z elementarnych podręczników anatomii dowiadujemy się, że dolne kończyny kobiet są stosunkowo krótsze, niż u mężczyzn; że *chód* dobrze i typowo zbudowanej kobiety jest kaczkowaty itd. Słabsze mięśnie nie mogą być bardziej elastycznymi: względna zręczność ruchów ciała u kobiet jest więcej wynikiem *wychowania*, niż organizacyi. Oprócz włosów na głowie nie posiadają kobiety żadnego innego organu, któryby służąc *tylko* do ozdoby ciała nie był przeznaczonym do wykonywania takiej lub innej czynności, właściwej przyrodzonemu ich powołaniu. Tymczasem obecność zarostu u mężczyzn tłomaczyć się daje *tylko* estetycznemi wymaganiami doboru naturalnego.

Wykazanie różnic duchowych udało się prelegentowi znacznie lepiej; nie powinien on był tylko nużyć słuchaczów oklepanymi frazesami ze starych romansów. Zaznaczywszy różnicę w ustroju duchowym i cielesnym, zaczął p. E. charakteryzować uczucia płci męskiej i żeńskiej. W jaki sposób przyszedł do wniosku, że istota o niższym poziomie umysłu, niezdolna do uogólnień, bardziej wrażliwa i uczuciowa—jest w miłości swej mniej od mężczyzny zmysłową, stanowi to tajemnicę jego logiki.

Człowiek pod względem estetycznym niewykształcony przeniesie lichego kujawiaka nad cudowną sonatę Bethovena i zachwycać się będzie jaskrawym bohomazem, nie zwracając uwagi na pięknie wykonane drzeworyty. Pomimo te fakty, przypuściłbym jednak, iż przy ocenie utworów sztuki uczucie zastępuje do pewnego stopnia inteligencyę; ale aby się zachwycić pięknością myśli—potrzeba ją koniecznie zrozumieć, potrzeba umieć spojrzeć na nią krytycznie. O ile przeciętna kobieta zdolną jest do oceny krytycznej rozumu mężczyzny, mogły przekonać prelegenta „piękne“ słuchaczki, które nagrodziły go hucznem brawem. Odrzuciwszy z owych oklasków część przypadającą za komplimenty o większej „wysmukłości“ i „wyższości duchowej,“ będziemy mieli jeszcze dość głośną wskazówkę, jak się należy zapatrywać na uniesienia przeciętnej kobiety nad rozumem mężczyzny. Rozum ten w oczach wielkiej ilości pań jest taką samą cechą męskości, jak siła, energia, broda, wąsy. Głównie też jako *cecha płci innej* olśniewa on umysły kobiet. Wewnętrzne piętno myśli, której często nie rozumieją pozostałoby dla nich martwą literą, gdyby w chwili najwyższego uniesienia oczy mówiącego nie pałały najwyższym blaskiem i głos nie dosięgnął pożądanej skali. Spinka wypadająca z kołnierzyków genialnego mówcy zgubi go w oczach 50 słuchaczek na 100. Należy więc zrozumieć, iż w większości wypadków rozum mężczyzny nie jest cenionym przez kobietę, jako wyższa siła duchowa, lecz jako cacko płci odmiennej. Innemi słowy: miłość kobiety nie opierając się zbyt wyraźnie na cechach fizycznych mężczyzny nie przestanie być jednak tak dobrze zmysłową, jak i uczucia połowy silniejszej. Gdyby zresztą pogląd ten grzeszył zbytkiem pesymizmu, to i w takim razie twierdzenie p. E. o mniejszej zmysłowości uczuć kobiecych byłoby błędnem. Prelegent mając ciągle na myśli całą miłość mężczyzny, porównywał ją z *przedślubną tylko fazą* uczuć niewinnej dziewczyny. Po czyjej stronie leży przewaga zmysłowości w okresie następnym stosunków miłosnych, rozstrzygać nie będę. Zbyt wiele jednak mamy powodów sądzić, iż nie wszyscy mężowie pogląd p. Ehrenfeuchta podzielą.

Zapewnienie, iż kobiety stalszemi są w miłości, zaliczyć muszę do szeregu tych komplimentów, które przysparzając autorowi oklasków w niczem wiedzy jego słuchaczów nie zbogaciły.

Powiedziawszy o zaletach umysłu prelegenta nie należy zapominać o jego krtani. Wyraźna dykcya i niezmiernie donośny głos p. E. sprawiają, że pomimo upomadowanej do zbytku deklamacyi mógłby on być zawsze pożądanym głosicielem odczytów—rozumie się nie swoich.

Maryan Bohusz.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Kurs rubla podnosi się. W Berlinie za 100 rs. 203 m. 50 fen.

Uznanie. Liczne grono przyjaciół talentu p. Marrené (Morzkowskiej) ma ją dziś (w sobotę) uczcić publicznie za dwudziestokilkoletnią pracę odpowiednią owacyą i pamiątkami. Czytelnicy naszego tygodnika a więc i szan. autorki połączą się zapewne z nami w wyrażeniu jej serdecznego szacunku za zasługi na tem polu, na którem myśl o swą niepodległość walczy.

Odczyty. Na dochód Osad rolnych p. E. Jankowski miał dwa wykłady publiczne „o drzewach swojskich.“

Podróże. Zamiar p. Rogozińskiego przedarcia się do jezior Liba (celu wyprawy) został udaremniony przez opór handlarzów balongskich i króla Mahonie. Podróżnicy cofnęli się aż na wyspę Mondoleh i będą usiłowali przedostać się z innej strony.

Konkurs. Zgromadzenie drukarzów warszawskich ogłosiło konkurs na *Przewodnik* dla drukarzów, z nagrodą 300 rs i terminem 31 marca 1885. Pożądana praca ma obejmować wskazówki dla zecerów i maszynistów. Zaiste czas już, ażeby zagranica nie wstydziła polskich tłoczni i ażeby im... nie odbierała robót.

Jeszcze raz prostujemy błąd — tym razem *Gazety Warsz.*,—jakoby p. Z. Kowalewska, wykładająca matematykę w wyższej szkole w Sztokholmie, była polką; jest bowiem rosyanką.

Proces prasowy w Poznaniu przeciwko zawieszonej *Polnische Correspondenz* znowu zasadził do więzienia: autora oskarżonego artykułu (o gospodarstwie wojskowem i urzędniczem w Prusach) Pehmlera na pół roka, redaktora zaś Jastrzębskiego i wydawcę Łebińskiego na 2 miesiące.

— Redaktor *Warty* i *Gońca Wielkopolskiego*, Jankowski, odsiadujący karę dwuletniego więzienia, skarany został dodatkowo na 2 miesiące kozy za wiersz Duchińskiej.

Towarzystwo złodziejskie. W Berlinie rozstrzygnięto olbrzymi proces przeciwko stowarzyszeniu złodziejskiemu, na czele którego stała niejaka Pusmentirer, która posiadało swoją organizacyę, wysyłało agentów itd. Jedna z gazet niemieckich, chociaż między podsądnymi był tylko jeden Kochłowski (*sic*), robią uwagę, że „najzręczniejszych i najśmielszych rzezimieszków dostarcza Polska rosyjska.“

Towarzystwo kredytowe ziemskie postanowiło wydawać roczniki, zawierające, oprócz części informacyjnej, statystyczne wiadomości, dotyczące dóbr stowarzyszonych i wszelkie nowe zmiany w ustawie.

Teatr. W operze wznowiono *Tannhäusera* i *Carmen*. W Teatrze Rozmaitości wystawiono po raz pierwszy dramat Kościelskiego *Dwie miłości*.

Sprawa Kraszewskiego i Hentscha ostatecznie będzie sądzoną. Akt oskarżenia zarzuca naszemu pisarzowi zdradzanie tajemnic wojskowych niemieckich na korzyść Francyi. Hentsch i Adler (denuncyant) mieli być agentami, Kraszewski kierownikiem.

Rozruchy. Z powodu uwolnienia żydów oskarżonych o podpalenie bożnicy w Szczecinku (w Prusach) tłum rzucił się na powracających omnibusem uniewinnionych, poturbował ich, a potem do późnej nocy rozbijał ludzi i domy w mieście.

Gdyby to my! *Słowo* zapewnia, że jego redaktor „znakomity pisarz“ p. H. Sienkiewicz, wyjeżdżający do Francyi, nie zerwał z nim stosunków. Czegoż trzeba jeszcze więcej?

Przewodnik dla przysięgłych ma być wkrótce wydany przez ministra sprawiedliwości w Rosyi dla zapobieżenia błędnie wydawanym wyrokom.

Dziwna panorama kryminalna przesunęła się przed oczyma lwowian—jak donosi *W. A. Ztng.* Znany Ludwik Żychliński, oskarżony o obrazę majestatu, oszustwo i podpalenie gorzelni został jednomyślnie przez przysięgłych uwolniony, żonę zaś jego (z domu Dunin-Borkowska), która go oskarżyła, przedstawiwszy fałszywych świadków, a nawet usiłowała otruć, pociągnięto do odpowiedzialności.

Bibliografia polska. K Promyk *Prawdziwe opowiadania*, czyli druga książeczka do czytania. Wydanie szóste. Cena kop. 5. Książeczka ta, napisana w duchu wszystkich wydawnictw Promyka, odznacza się, jak inne, zacną chęcią i całopaleniem prawd naukowych. Autor baczy na to, żeby chłop umiał czytać—o resztę dba mniej a o sprostowanie jego wierzeń błędnych nawet się nie kusi.

Szkoły. We wszystkich gimnazyach żeńskich Okręgu naukowego warszawskiego z początkiem nowego roku szkolnego otwartą zostanie siódma klasa. *Kur. Warsz.* donosi, że udzielonem zostało osobie prywatnej pozwolenie otwarcia wyższej szkoły dla kobiet, pod warunkiem, że wykładającymi będą wyłącznie profesorowie miejscowego uniwersytetu. Starania robił p. Łojko, jaki będzie program kursów itd.—dotychczas niewiadomo. Mają być również otwarte wykłady nowożytnych języków, zdaje się, że także tylko dla kobiet, ale i o tym zakładzie brak w prasie szczegółów. Jest to więc prawdopodobnie ten sam wąż morski, który już tyle razy się wynurzał i ginął.

Bibliografia niemiecka. K. Rodbertus-Jagetzow *Das Kapital*, Berlin. Jest to drugi tom spuścizny naukowej po słynnym ekonomiście, wydawanej przez A. Wagnera.

— *Ch. Darwin u. seine Lehre*, Lipsk 1884. Są to aforyzmy z dzieł Darwina, jego poprzedników i współczesnych.

— T. S. Vilovsky *Die Serben*, Wiedeń. Książka ta stanowi jedenasty tom wydawnictwa zbiorowego, obejmującego ludy Austro-Węgier.

— *Zeitschrift für allgemeine Geschichte, Kultur-, Litteratur- u. Kunstgeschichte*, Stuttgart. Zeszyt pierwszy nic zapowiada tego wydawnictwa imponująco.

— E. Plener *F. Lassalle*, Lipsk. Treściwy obraz działalności głośnego agitatora.

Sprawa ucznia gimnazyum Wł. Grajnerta, oskarżonego o czynne znieważenie nauczyciela p. Peltyna, z powodu niestawiennictwa tego ostatniego, który występuje jako główny świadek, została znowu odłożoną.

Jubileusz. *Kuryer Codzienny* zapowiada, że niejaki p. Słonimski, redaktor hebrajskiego pisma *Hacefira*, wydawanego w Warszawie, obchodzić będzie jubileusz i dodaje, że należą mu się gorące dzięki od ogółu. Za co? Za szczepienie odrębności żydowskiej?

Wydalenie ze szkół uczniowie wskutek nowego rozporządzenia będą mogli być dopuszczeni do składania egzaminu dojrzałości tylko w wyjątkowych razach i to ze zezwoleniem ministeryum.

Nowa fabryka. Grono kapitalistów niemieckich zakłada przędzalnię na wielką skalę w okolicach Mławy.

Handel ludźmi. W Podwołoczyskach władze austryackie zatrzymały trzy żydówki rosyjskie, które dostarczały dziewcząt do Konstantynopola. Handlarki zostały uwięzione a towarzyszące im dziewczęta odesłano napowrót.

Dar. Wdowa po prof. Kowalewskim ofiarowała muzeum wileńskiemu pozostałą po zmarłym bibliotekę 2000 tomów.

Zmniejszenie robót Z powodu braku zamówień fabryka Lilpop i Rau oddaliła kilkuset robotników, pozostałym zaś zmniejszono godziny pracy i zaprzestano pracy nocnej; rozumie się, w tymże stosunku zmniejszono i zapłatę.

Stypendya. W półroczu bieżącem rozdano 59 stypendyów prywatnych studentom uniwersytetu na sumę 5146 rs.

Wybory. Prezesem warsz. oddziału towarzystwa zachęty przemysłu i handlu wybrany został hr. L. Krasiński, wice-prezesem p. Wł. Kiślański.

— Dyrektorem towarzystwa muzycznego wybrany pozostaje p. Zygmunt Noskowski.

Nagroda. Departament policyi państwowej ogłasza 5000 rs. nagrody za wskazanie miejsca pobytu dymisyonowanego sztabs-kapisana Sergiusza Degajewa, zabójcy pułkownika Sudiejkina a 10,000 rs. za pomoc w ujęciu go. Podobnego rodzaju ogłoszenie pierwszy raz, zdaje się, użytem jest w Rosyi. Niektóre pisma warszawskie powtarzają rysopis poszukiwanego.

Zmarli. Aleksander Lesser, znany malarz, jeden z najstarszych artystów polskich.

— K. Laroche, słynny aktor niemiecki, przyjaciel Goethego, w Wiedniu.

Turniej szachowy skończył się, pierwszą nagrodę wziął p. Żabiński, jednak pokonany przeciwnik p. Popławski protestuje, twierdząc, że względem niego postąpiono niesprawiedliwie, wykreślając mu jedną z wygranych partyj. Nie wiemy, kto ma racyę i zresztą nie wiele to znaczy, ale że też my nawet w tak drobnej rzeczy obejść się nie możemy bez swarów!

Pisma zagraniczne. Do Warszawy przychodzi 563 pism niemieckich, 158 francuskich, 35 angielskich, 16 słowiańskich i 4 włoskie. Niektóre mają więcej, niż stu prenumeratorów.

Źródła nafty znajdują się na gruntach wsi Wojczy w Kieleckiem. Dotychczas wydobywano zaledwie po kilkanaście garncy ropy dziennie, co nieopłacało kosztów. Obecnie natrafiono na bogatsze nieco źródła i dla eksploatacyi ich zawiązała się spółka.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Gustawowi Z. w Piotr. Przeoczenie korektora, który powinien był różne sposoby pisania ujednostajnić, chociaż oba są zarówno dobre jeden odpowiada etymologii, drugi—fonetyce.

P. B. W. w Puł. Dopełnienie to zostało opuszczone nie z naszej winy, powtórzyć go nie możemy. Krótki wykaz statystyczny już dawniej pomieściliśmy.

Czytelnikowi. Po polsku niema.

K. S. F. Bekl, ale *e* wymawia się jak fran. *eu*.

OFIARY.

Dla studentek polek w Petersburgu. Nowakowski Franciszek rs. 2; M. Z. z Rozw. rs. 1 kop. 30.

Ogłoszenia.

Rok 19. Wydawnictwo **S. Lewentala**, Warszawa, Nowy-Świat Nr. 39.

Najobszerniejsza illustracya polska. Jako premium, po zniżonej cenie, *Tanie zbiorowe wydanie powieści E. Orzeszkowej.*

KŁOSY

Czasopismo tygodniowe ilustrowane

poświęcone

literaturze, nauce, sztuce i polityce

wychodzą raz na tydzień: w Czwartek, w objętości dwóch i pół wielkich arkuszy, wieloma ilustracyami ozdobionych.

Cena w Warszawie rocznie **rs. 8.** W Cesarstwie i na prowincyi w Królestwie, wraz z przesyłką pocztową **rs. 12.**

Prenumeratę składać także można i w ratach półrocznych lub kwartalnych.

W tym roku rozpoczęliśmy druk samych nowych prac; z powieści drukujemy:

J. I. Kraszewskiego **PSIA WIARA**, *Danilewskiego* **KSIĘŻNICZKA TARAKANÓWNA.**

Kompleta, od Nowego Roku począwszy, znajdują się na składzie.

Najznakomitsi pisarze i artyści polscy są stałymi współpracownikami „Kłosów."

52 Numera rocznie, wraz z oddzielnym dodatkiem powieściowym w formacie książki

---

Wyszedł z druku i jest do nabycia w księgarniach zeszyt III dzieła p. t.:

Najlepsza Metoda

do nauczenia się języka niemieckiego **w 3 miesiącach bez nauczyciela** przez **Pl. Reussnera**. Cena całego dzieła rs. 2 kop. 60 (pocztą rs. 2 k. 90. Oddzielnie kurs niższy kop. 60, kurs wyższy rs. 2.

Metoda angielska tegoż autora kop. 75 (pocztą k. 85).

Skład główny w księgarni pp. **Gebethnera i Wolffa.** 3—3

Wydawnictwo S. Lewentala w Warszawie, Nowy-Świat Nr. 39.

Z dniem 1 Kwietnia r. b zacznie wychodzić pod kierunkiem literackim

P. Maryi Konopnickiej

i przy współudziale najznakomitszych literatek i literatów polskich

Pismo Tygodniowe Illustrowane dla kobiet

p. t.:

ŚWIT

wraz z dodatkiem wzorów robót i ubiorów kobiecych.

Na drodze trudnej, na którą wstępujemy, potrzebne nam jest życzliwe poparcie kobiet polskich. O nie też upraszamy gorąco, zapewniając, że ze swej strony zrobimy wszystko, aby **Świt** stał się wyobrazicielem idealnych dążności wieku naszego, do ziszczenia a wcielenia w życie tego co dobre, piękne, sprawiedliwe.

Świt wychodzić będzie co tydzień, we Wtorek, w objętości dwóch wielkich arkuszy, w formacie i na papierze większych naszych illustracyj. Jeden arkusz o 8 kolumnach poświęcony będzie literaturze, nauce i sztuce; drugi zaś, o tyluż stronicach, gospodarstwu domowemu, kuchni i modom. Prócz tego dołączane będą tablice kroju i mody kolorowane bez żadnych oddzielnych dopłat. Mody oraz wzory robót zamieszczane w najznakomitszym dzienniku modnym, wychodzącym w Paryżu p. t.:

REVUE DE LA MODE

jedynie ze wszystkich pism polskich **Świt** podawać będzie.

Cena prenumeraty wynosi w **Warszawie**: rocznie rs. **7** kop. **20**, półrocznie rs. **3** kop. **60**, kwartalnie rs. **1** kop. **80**, miesięcznie kop. **60**.

W **Królestwie i Cesarstwie** wraz z przesyłką pocztową: rocznie rs. **10**, półrocznie rs. **5**, kwartalnie rs. **2** kop. **50**.

Prenumerować można u Wydawcy, Nowy-Świat Nr. 39, oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach. Prospekta na żądanie wysyłają się bezpłatnie.

4—6

S. LEWENTAL.

SZKICE KLINA

Część druga

Zeszyt 1: I. **U drogowskazu.**
„ 2 i 3: II. **Po Europie.**
„ 4: III. **Przedesnem**
„ 5: IV. **Żołądek i mózg.** V. **Z trylogii życia.**

Każdy zeszyt sprzedaje się osobno po kop. **35.**

We wszystkich księgarniach w Warszawie.

Skład główny w księgarni **Ludwika Polaka.** 2—3

Najnowsza Metoda

do nauki języka angielskiego w 24 lekcyach bez nauczyciela, obejmująca objaśnienie wymowy każdego wyrazu, przez Pl. REUSSNERA, kop. 75 (z przesyłką kop. 85).

Do nabycia w księgarni Gebethnera i Wolffa, tudzież i u autora przy ul. Chmielnej № 6 w Warszawie.

Biblioteka matematyczno-fizyczna, wydawana przez M. A. Baranieckiego z zapomogi Kasy pomocy naukowej im. Mianowskiego. Seryi I tom I: **Początki arytmetyki** *M. Berkmana;* cena kop. 65. Seryi I, tomy II i III: **Wiadomości początkowe z fizyki** *S. Kramsztyka;* cena kop. 30 i 45. Seryi III, tom II: **Arytmetyka**, kurs teoretyczny, *M. A. Baranieckiego;* cena rs. 1 kop. 70. Seryi IV, tom IV: **Geometrya analityczna** *W. Zajączkowskiego;* cena rs. 3. 2—10

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena **rs. 1.** (wraz z przesyłką pocztową).

Skutkiem rozwiązania się Spółki Nakładowej część jej wydawnictw, mianowicie utwory Okońskiego przeszła na własność Redakcyi **Prawdy**, w której kantorze oraz za pośrednictwem znaczniejszych księgarń nabywać można:

W. Okoński (A. Świętochowski). **Dramata** (Antea, Na targu, Helvia, Błazen, Poddanka, Za maską) rs. 1.

— **O życie** (powiastki: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug) kop. 50.

Nadto:

W. Okoński **Klemens Boruta** powiastka, k. 30.

— **Ojciec Makary** dramat w 3 aktach k. 60.

A. Świętochowski **O powstawaniu praw moralnych** rs. 1 kop. 50.

8—10

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Марта 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**